

# PROFESOR FRYZE I INNI - CI, KTÓRZY ZROBILI Z NAS ELEKTRYKÓW

*Anegdoty i wspomnienia  
z tamtych lat*

Gliwice 1996







Cz. 2

378.6::62:929-051-052

ks. podv. - sala

# **Profesor Fryze i inni - Ci, którzy zrobili z nas elektryków**

*Anegdota i wspomnienia  
z tamtych lat*

Gliwice 1996



Wydano staraniem Oddziału Elektryków Stowarzyszenia  
Wychowanków Politechniki Śląskiej



135730

Druk: UKiP sc, Gliwice, ul. Pszczyńska 44, tel. 31-87-09.

5 691/12





Dr. Inz. Stanisław Fryce







# Spis treści

	Str.
I. Zamiast wstępu .....	7
II. Te niezapomniane lata, gdy byliśmy młodzi i wykładał nam profesor Fryze.....	11
• Mądrości życiowe i uśmiech na wykładach .....	13
• Przeżycia egzaminacyjne .....	19
• Anegdoty, opowieści, powiedzonka .....	28
• Wspomnienia .....	35
III. Wspomnienia o Tych innych .....	59
IV. Zamiast zakończenia .....	73







iście, którzy nie potrzebują wchodzić... profesorowi Frydman  
 nie mogą zrozumieć, że każdy z jego dawnych studentów  
 musi za niego być i w domu... dla niektórych z nich, dla  
 niektórych tylko 35 - jest nadal zadowolony osobistej...  
 Każde spotkanie naszego pokolenia absolwentów Wydziału  
 lekucznego z tamtych lat zawsze w pewnym momencie zbliża do  
 wspomnienia o Profesorze. Trudniej jego inakweiny zwrócić w  
 pamięć, to krapka pamięć, że nie pan obojętnie zbliża, trwa  
 później dojdziecie pan do przekonania, że się za siebie nie...  
 przepięknie udało uszczelnienie... z jak się pan z...  
 piękna...

Aby osłabić od samounieszczenia odpowiedzialności klinicy...  
 i spotkań z Profesorem, pewnego razu na zarządzie zarządu  
 stowarzyszenia Wychowańców Wydziału Elektrycznego padła propo-  
 zycja, by zebrać i wydać albumy, na których są...  
 Najlepiej zebrane portrety...  
 w tych...  
 w...  
 w...  
 w...  
 w...

## I. Zamiast wstępu

nie tylko...  
 nie tylko...  
 nie tylko...  
 nie tylko...  
 nie tylko...  
 nie tylko...  
 nie tylko...  
 nie tylko...  
 nie tylko...  
 nie tylko...







Ludzie, którzy nie zetknęli się osobiście z profesorem Fryzem nie mogą zrozumieć, że każdy z jego dawnych studentów, mimo że minęło już tyle czasu - dla niektórych 50 lat, dla niektórych tylko 35 - jest nadal zafascynowany osobowością Profesora. Każde spotkanie naszego pokolenia absolwentów Wydziału Elektrycznego z tamtych lat zawsze w pewnym momencie zbacza na wspomnienia o Profesorze. I cytujemy jego maksymy życiowe, a najczęściej tę krzepiącą panów: „im się pan później ożenisz, tym później dojdiesz pan do przekonania, żeś się za wcześnie ożenił” i tę krzepiącą mniej urodziwe elektryczki: „nie żeń się pan z kobietą piękną” ...

Aby ocalić od zapomnienia niepowtarzalny klimat wykładów, egzaminów i spotkań z Profesorem, pewnego razu na zebraniu zarządu Stowarzyszenia Wychowanków Wydziału Elektrycznego padła propozycja, by zebrać i wydać drukiem to, co jeszcze pamiętamy. Na kolejnym zebraniu postanowiliśmy dołączyć również wspomnienia o innych naszych profesorach. Ogłosiliśmy apel o nadsyłanie wspomnień, niestety, tylko nieliczni odpowiedzieli. Mimo wszystko postanowiliśmy rzecz kontynuować, zachęceni listami tych, którzy odeszli się. Tu fragment jednego z listów.

„Pół wieku, to szmat czasu. Obawiam się, że przy czytaniu tych samych anegdot, lecz nadesłanych przez różnych autorów, będą niemałe trudności, by wytworzyć sobie sensowny obraz. Po tylu latach nie tylko wiele się zapomniało, ale i wiele poprzekręcało. Niemniej, trzeba tę robotę doprowadzić do końca. Zawsze, przy każdym spotkaniu, rozmawialiśmy o tym. Trzeba odtworzyć klimat tamtych dni i wspaniałą postać niezapomnianego Nauczyciela-Wychowawcy - wzoru zachowań, pracy, niespożytej energii i humoru.”

Opracowanie to nie rości sobie pretensji do pełnego przedstawienia osoby profesora Fryzego. Zrobiono to wcześniej w albumie wydanym



w setną rocznicę urodzin Profesora oraz w okolicznościowym Zeszycie Naukowym Elektryka nr 100. Potraktujmy ten zbiorek jako okruchy wspomnień adresowane do tych, którzy go znali, i niech będzie dla nas przypomnieniem tych trudnych, ale szczęśliwych chwil, gdy studiowaliśmy, byliśmy młodzi i pełni zapału do nauki, a wykładał nam, gnębił nas na egzaminach i uczył mądrości życiowej profesor Stanisław Fryze.

*Komitet redagujący:*

*Zofia (Jurasz) Cichowska, Tadeusz Lipiński,  
Bogusław Szewc*

*na podstawie materiałów nadesłanych przez  
koleżanki i kolegów z różnych semestrów.*

*Oto oni według kolejności losowej:*

*Zofia Czosnek-Szczepanik, Ryszard Rut,  
Władysław Gawliński, Zygmunt Kuczewski,  
Wilibald Winkler, Tadeusz Lipiński,  
Czesława Kolmerowa, Tadeusz Glinka,  
Jerzy Gembalski, Kazimierz Luchowski,  
Maria Tomala-Guzek, Ludwik Pinko,  
Irena Dobrzańska, Marek Gadomski,  
Tadeusz Szweda, Andrzej Rydz,  
Kazimierz Niemiec, Iwo Cholewicki,  
Zofia Cichowska, Bogusław Szewc,  
Zygmunt Smolka (karykatury)*



• Mądrości życiowe i uśmiech na  
wykładach

Szereg wykładów z elektroniki, podjęty przez autora, nie miałby dzisiaj sensu, spowodowany zmianami, bądź praktycznymi, bądź technicznymi. Ich treścią były: autorytety, zdarzenia, a także wyobrażenia i między innymi:



## II. Te niezapomniane lata, gdy byliśmy młodzi i wykladał nam profesor Fryze

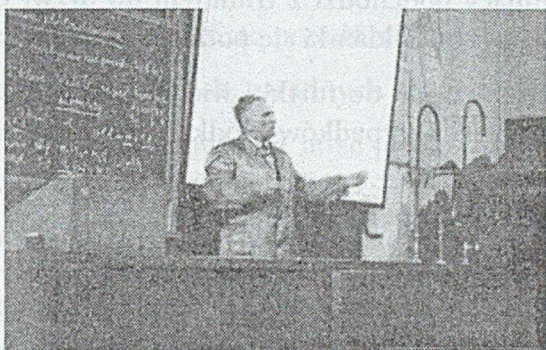






## • Mądrości życiowe i uśmiech na wykładach

Swoje wykłady z elektrotechniki profesor Fryze urozmaicał dykteryjkami, opowiadaniem sytuacyjnymi, bądź praktycznymi wskazówkami. Ich treścią były autentyczne zdarzenia, a dość często stosunki między dwiema płciami.



*Profesor Fryze wyklada w sali 21*

Ulubionymi tematami Profesora były zasady strzałkowania i układ jednostek. Te sformułowania nic już dzisiaj nie mówią nie tylko studentom, ale nawet wielu posiadaczom dyplomów inżynierskich, magisterskich, czy nawet doktorskich. Kto dziś umie przeliczyć wielkości elektryczne z układu SI na układ Lorentza? Kto dziś pamięta, co to jest  $R_{dc}Gb$ ? A to przecież po prostu ratdecygilbert - jednostka siły magnetomotorycznej w układzie MKS Giorgiego, oczywiście zracjonalizowanym.

Oto garść opowiadań sytuacyjnych Profesora.

- Panie (tak zazwyczaj rozpoczynały się opowiadania), gdy rozpocząłem pracę u Siemens, dostałem polecenie skopiowania rysunku



technicznego. Wykonałem to bardzo starannie, lecz mój szef, rzuciwszy tylko okiem, powiedział: „- Niekompletnie!” Jeszcze staranniej porównałem obydwa rysunki, usunąłem bardzo drobne nieścisłości i pracę przedstawiłem szefowi. Znow ta sama reakcja: „- Niekompletnie!” Zrobiło mi się ciepło. Usiadłem nad rysunkiem, ale ku mojej rozpaczy nie znalazłem żadnych błędów. Powiedziałem więc nieśmiało szefowi: „- Wszystko jest idealnie tak samo”. A na to szef: „- Panie, nie ma daty - każdy rysunek techniczny musi mieć datę!” Zapamiętaliśmy dobrze tę naukę praktyczną.

- Panie, przyjmujący do pracy mają nieraz swoje sposoby na badanie inteligencji starającego się o posadę. I tak, na przykład, aby otworzyć drzwi, klamkę trzeba podnieść do góry, a nie nacisnąć. Gdy pan naciska, to przyjmujący podchodzi z triumfem do drzwi i demonstrując otwieranie mówi: „- U nas klamki się podnosi”. Jest pan spalony.

- Panie, podchodzisz pan do furki i widzisz wiszącą kłódkę. Trzeba sprawdzić! Bo w 80% przypadków kłódka tylko wisi, a nie jest zamknięta.

- Panie, w życiu może pana spotkać wiele różnych zdarzeń, z którymi musisz pan sobie dawać radę. Otóż nieraz nie będzie wolno panu zasnąć mimo piekielnego zmęczenia. W czasie pierwszej wojny światowej służyłem na łodzi podwodnej. Mając wachtę, aby nie usnąć, brałem do ręki majzel. A wie pan, co to jest majzel na okręcie podwodnym?! *(w tym momencie wszyscy słyszeliśmy potworny huk upadającego na stalową podłogę majzla).*

- Panie, ludzie dzielą się na tych, którzy w życiu mają szczęście i nie zetknęli się z więzieniem, na tych, co siedzą, oraz tych, którzy będą siedzieć. Właśnie możliwość trafienia do tej ostatniej grupy musi pana mobilizować do starannego przygotowania się na tę okoliczność. Trzeba potrenować, aby z byle jakiego gwoźdźcia wykonać igłę, lub z tyżki nóż, nie mówiąc już o sposobach porozumiewania się przez ścianę, czy też sufit. Musisz pan ćwiczyć wytrzymałość na głód.

- Panie, jako inżynier nie możesz się pan zasklepić w swojej specjalności, musisz pan myśleć. Posłuchaj pan - przyjechałem kiedyś do mojego ojca. Dom rodzinny odwiedził miejscowy proboszcz i popro-



sił, abym rozpoznał sprawę wymiany na kościele wszystkich dachówek, albowiem właściciel firmy przeprowadzającej remont dachu stwierdził konieczność wymiany w takim zakresie. Nie mogłem przecież powiedzieć, że się na tym zupełnie nie znam. Poszedłem na miejsce, przedstawiłem się wykonawcy remontu jako inżynier i spytałem, czy trzeba wymienić wszystkie dachówki. Odpowiedź była twierdząca. Poprosiłem więc o zniesienie z dachu wskazanych kilku dachówek, wziąłem jedną do ręki i uderzyłem po niej kamieniem - obserwując bacznie twarz budowniczego. Dachówka wydała dźwięk - Panie, dzwon! Potem wziąłem następne. Twarz budowniczego zmieniła barwę. Postawiłem więc znów pytanie - czy wszystkie? No nie - padła odpowiedź - tak z 50-60%. Proboszcz był wielce zadowolony, no i przedsiębiorca też, bo nie zakwestionował tej ilości.

- Jak nie wiesz pan, co zrobić, to poradź się żony i zrób odwrotnie.
- Ludzie dzielą się na radnych, zaradnych i bezradnych.
- Prawdziwy mężczyzna powinien mieć jedną żonę i tyle kochanek, żeby go mogły utrzymać.
- Ja nie czytam romansów. W romansach piszą, jak się kochali, jak wspaniale żyli, bogato i urozmaicenie, zwiedzali różne kraje, mieszkali na Riwierze. Ale w romansach nie piszą, kto za to wszystko płaci. A to właśnie mnie najbardziej interesuje i dlatego nie czytam romansów.
- Nie żeńcie się z pięknymi kobietami, bo są rozpieszczone i przeważnie ograniczone umysłowo. Jak dzisiaj popatrzę na piękności z mojej młodości, to robi mi się niedobrze. Do brzydoty można się przyzwyczać, do złego charakteru nigdy.
- Profesor stał na stanowisku, że inżynier powinien posiadać wszechstronną wiedzę techniczną i był przeciwnikiem lansowanej po wojnie wąskiej specjalizacji. Z przekąsem mawiał, że już za Hipokratesa była wąska specjalizacja - i podawał jej przykład: W nocy dobija się do lekarza jęczący człowiek skarżąc się, że go boli oko. - A które? - zapytuje lekarz. - Lewe - powiada pacjent. - Odejdź i daj mi się wyspać, bo wiem ja jestem specjalistą od prawego oka! - i lekarz zatrzasnął drzwi.



- W czasach, kiedy upowszechniał się napęd elektryczny i dla poprawienia warunków rozruchowych stosowano opornice, w jednym miejscu doszło do sporu o to, że opornica nadmiernie się nagrzewa, co było powodem reklamacji. Dla rozstrzygnięcia sporu wezwano Profesora jako eksperta. Okazało się, że opornica była niewłaściwie ustawiona, co utrudniało dopływ powietrza do chłodzenia. Wystarczyło przestawić opornicę o  $90^{\circ}$  i wszystko było w porządku, ale rachunek wysokiej rangi eksperta opiewał na bardzo słąną kwotę. Użytkownicy twierdzili, że sprawa była prosta i że sami mogli obrócić opornicę. Profesor przyznał im rację, lecz od wymaganej kwoty nie odstąpił, bo skoro wezwali aż Profesora - i on problem rozwiązał - to muszą za wiedzę zapłacić. I dla porównania przytoczył anegdotkę: - Kiedyś na wsi babę bolał brzuch i wraz z chłopem uznali, że trzeba postawić bańki (jako że jest to panaceum na wszelkie dolegliwości). Baniek akurat nie mieli, więc chłop dzban gliniany na piecu rozgrzał i jako bańkę zastosował. W miarę stygnięcia brzuch był coraz głębiej wciągany do garnka i baba coraz głośniej wrzeszczała. Nie było rady, chłop zaprzął konie do furmanki i pośpieszył do miasta po lekarza. Kiedy lekarz zobaczył, co się dzieje, spytał chłopą, czy ma młotek. Chłop dał mu młotek, lekarz rozbił dzban i było po wszystkim. Chłop bardzo się skrzywił, kiedy usłyszał wysokość honorarium, przecież on mając młotek sam mógł to zrobić. To prawda, ale skoro wezwałeś lekarza - musisz mu zapłacić należycie.

- Przy maszynie z dużym kołem zamachowym występowało ciekawe zjawisko: na niskich obrotach pojawiały się niepokojące stuki. Wielokrotnie maszynę rozbierano, sprawdzano łożyska - i niczego nie stwierdzano, a po złożeniu zjawisko nadal występowało. Różne domysły natury technicznej nie potwierdziły się, więc wezwano eksperta. Ekspert rozpoczął od wywiadu z maszynistą, prostym człowiekiem bez wiedzy technicznej, którego do tej chwili w ogóle nie zauważano. Jednak właśnie on zwrócił uwagę eksperta nie na samą maszynę, lecz na koło zamachowe. Stwierdził bowiem, że stuki występują w rytmie wolno obracającego się koła zamachowego. Ekspert wysnuł wniosek, że prawdopodobnie w wadliwym odlewie koła zamachowego występuje pęcherz gazowy, a kawałek luźnej zgorzeli w tym pęcherzu



powoduje kołatanie przy niskich obrotach, i stuki te przenoszą się na całą maszynę. Natomiast przy wyższych obrotach siła bezwładności dociska zgorzel do ścianki pęcherza i stuki znikają. Wymiana koła zamachowego potwierdziła to - zjawisko ustąpiło. Były to czasy, kiedy jeszcze nie znano metod wykrywania wad wewnętrznych, a zdarzenie było dla Profesora przykładem, że nie należy lekceważyć wywiadu z osobami blisko stykającymi się na co dzień z pracą badanego urządzenia.

- Student zwraca się do Profesora: - Ja z tego nic nie rozumiem! Na to Profesor: - No właśnie, to jest elektrotechnika.
- Profesor mówi do swojego adiunkta dr. Juliana Borego: - Julek, wytłumacz im, co to jest jedynka tłusta (skok jednostkowy Heavyside'a). Pan adiunkt wychodzi do tablicy i zamiast tłustej jedynki pisze swoją chudą jedynkę ze słynną podstawką. - Julek, zmaż to! - grzmi Profesor nie tolerujący tego zapisu. Pan adiunkt zmazuje i pisze znów po swojemu. Profesor: - Julek, ja ciebie wystrzelę na Księżyc!
- Jak piszesz, to się wypisze, jak nie piszesz, to wyschnie - w sensie dosłownym i w przenośni. Odnosi się do pióra i nie tylko!
- „Rządy bez udziału opozycji - to samowola”. (Profesor Fryze wielokrotnie wygłaszał to stwierdzenie publicznie, nie licząc się z tym, że jedynie słuszna władza zwalcza taką opinię, a także jej zwolenników).
- Profesor przy każdej okazji uczył nas zaradności i samodzielności. Wielokrotnie powtarzał: „- Jak cię wyrzucą drzwiami, włącz oknem.” Dawał przykłady, jak sam, w okresie odbywania służby wojskowej, będąc na przepustce zaliczał projekty przejściowe, na które składały się rysunki techniczne w tuszu. Wykonywał ich kilka równocześnie, przechodząc z grafionem, cyrkiem czy nulką przez kolejne arkusze rozpięte na podłodze. W ten sposób mając raz nastawioną potrzebną grubość linii kreślił ją na wszystkich rysunkach, co pozwalało mu zakończyć całość w ciągu nocy i następnego dnia zaliczyć przejściówkę.
- Przykład, gdy samodzielność myślenia mogła zadecydować o życiu, pochodzi z okresu wojny. Profesor Fryze znalazł się w obozie, którego organizacja przebiegała następująco: Zwołano zbiórkę i zarządzono,





aby wystąpiły z szeregu osoby znające się na strzyżeniu i goleniu. Pierwszemu, który wystąpił, powiedziano, że będzie cyrulikiem w obozie. Oznaczało to lżejsze życie i nadzieję na przetrwanie, więc kandydat zgodził się, ale powiada, że nie ma narzędzi. Odesłano go do szeregu, a funkcję dostał ten, który nie stawiał żadnych warunków, choć i on nie miał żadnych narzędzi. A narzędzia zdobył potem we własnym zakresie, wymieniając je przez ogrodzenie za marynarkę. Następnie zarządcono, aby z szeregu wystąpili ci, którzy znają się na elektryce, bo trzeba zrobić oświetlenie obozu. Sprawa wyglądała podobnie jak z cyrulikiem. Przy braku materiałów do oświetlenia terenu obozu równie dobrze nadawał się drut kolczasty.

- Kiedy Profesor chciał słuchaczom uzmysłowić, że podejścia do problemu mogą być różne, przytaczał następującą anegdotkę:  
„Turka jadącego na osie zapytał napotkany znajomy: - Dokąd jedziesz? - Jadę z żoną do doktora - odparł ten, wskazując na podążającą za nim pieszo kobietę.”



## • Przejścia egzaminacyjne

Egzamin to ukoronowanie kilkumiesięcznego trudu słuchania wykładów, zaliczania ćwiczeń i wielogodzinnego wkuwania. Egzaminy w Katedrze Podstaw Elektrotechniki, a zwłaszcza u samego Profesora - to pełnia szczęścia. Przejścia związane z tym zdawaniem przedstawił kolega Bolesław Gliksman mową związaną w 1948 roku, w czasach studenckich. Wiersz był drukowany w „Prostu” w grudniu 1949 r.

### *Egzamin*

W maleńkim mieście Gliwice,  
Na Ziemiach, gdzieś, Odzyskanych,  
Przy Katowickiej ulicy  
Jest plac niezabudowany.

Obok gmach szary stoi,  
A w mrocznym jego wnętrzu  
Jest dużo, dużo pokoi  
I jeden, na drugim piętrze.

Nic w tym na pozór dziwnego,  
Boże! Grzesznemu błogostaw,  
Spokojnie czytasz kolego  
Ten napis: „Katedra Podstaw”.

Zgoła podobny do innych,  
Do „Termo” lub „Części Maszyn”,  
Ot! Taki szyldzik niewinny,  
Niczym nie grozi, nie straszy.



Lecz ła zakręci się w oku,  
Gdy wspomnę sobie czasami,  
Ileż to razy w tym roku  
Czekałem przed tymi drzwiami.

Jeśliś ciekawy, opowiem  
Ci o studencie, kolego,  
Który miał pecha, albowiem  
Nigdy nie umiał niczego.

Akt pierwszy, w górę kurtyna  
I chwila oczekiwania,  
Potem profesor zaczyna  
Zadawać krótkie pytania.

Profesor, doktor, inżynier,  
Tyle tytułów, mój Boże,  
Cześć! Wiwat! Zdrastwuj! Niech żyje!  
Dziś przyszedł w świetnym humorze.

Sekrecik zdradzę ci mały,  
Kolego, jeśliś ciekawy,  
Aż pięciu wczoraj oblało,  
Toteż profesor łaskawy.

Z daleka widzę po minie:  
Źle! Mam to stale w pamięci,  
Może mnie dzisiaj ominie,  
Może się uda wykręcić.

Ołówkiem piszę czerwonym,  
Zielonym też i niebieskim  
Poemat na cztery strony,  
Kropeczki, kółka i kreski.

Strzałki! Pamiętaj o strzałkach!  
Profesor znów się pochylił,  
Chciałbym zobaczyć dziś śmiałka,  
Który by strzałki pomylił.



Nikt nie namyślał się długo,  
Studenci strzałki zmienili,  
Było pięć minut przed drugą.  
Wszyscy egzamin skończyli.

Wynik? Kto pyta o wynik?  
Jeżeli wszyscy, to znaczy,  
Że tylko laik lub cynik  
Mógłby pomyśleć inaczej.

Wyszedł, lecz ciągle go słyszę,  
Jak rzuca zdanie ponure,  
Niech się pan prędko zapisze  
Na chemię lub architekturę.

Ktoś zabrał płaszcz i kalosze,  
Pogasty światła na scenie,  
Akt drugi zakończył się, proszę  
Przyjść znowu na zakończenie.

Minęło kilka tygodni.  
Jak kiedyś, w tej samej sali  
Trwożni, lecz zawsze pogodni  
Znów się studenci zebrali.

I znów kurtyna do góry  
Jak dawniej mknie bezszelestnie.  
Ja wiem, że chciałby tu któryś  
Uśmiechnąć się, ale nie śmie.

Nie śmie, bo wie, co go czeka,  
Nie śmie, bo wie, co go boli,  
Głowa do góry, człowieku  
I towarzyszowi niedoli.

Niech wejdzie ktoś i zawoła,  
Że skończy się tve cierpienie!  
Patrz, oto Święty Mikołaj  
I Boże wnet Narodzenie.



Patrz, wchodzi ktoś z siwą brodą  
I niesie śliczne prezenty,  
Kij w rękę, lecz duszę ma młodą,  
Radosny i uśmiechnięty.

I pierzchła gdzieś groźna mina,  
Po chwili oczekiwania  
Wraz z prezentami zaczyna  
Zadawać krótkie pytania.

Nie pyta o potencjale,  
Ani o zmiennej wartości,  
Nie potrzebujesz mu wcale  
Rysować środków ciężkości.

Wystarczy tylko wymienić  
Wszystkie jednostki rzetelne,  
Których nikt nigdy nie zmieni,  
Nigdy! Bo są nieśmiertelne!

A potem pióro wyjmuje,  
Studenci płaczą jak bobry  
Ze szczęścia, oto wpisuje  
Egzamin, dnia ... bardzo dobry.

I oczom wierzyć się nie chce,  
To sen, to złuda, co pryska,  
Lecz podpis pozostał w indeksie,  
Profesor doktor Stanisław.

Szczęściem pijana kurtyna  
Ślub bierze z budką suflera,  
A wieść o cudzie zaczyna  
Do całej Polski docierać.

Humor mam dzisiaj szampański  
I nie ma się czemu dziwić,  
Że biorę urlop dziekański,  
A jutro wyjeżdżam z Gliwic.



Na trasę W-Z do Warszawy,  
Albo do portu w Szczecinie.  
Na zakończenie ciekawy  
List wyślę swojej dziewczynie.

Do listu wiersz ten załączę,  
Połóż go, proszę, na stole.  
Przeczytaj sobie. Już kończę.  
Ściskam, całuję. Twój Bolek.

- Z wielkim zadowoleniem opowiadał Profesor, że jeszcze przed wojną na Politechnice Lwowskiej przyszła do niego na egzamin ładna studentka (na wdzięki kobiece Profesor był bardzo czuły) z Wydziału Budownictwa (a może Chemii?). „Zadaję jej kilka typowych pytań, a ona śpiewa. Słucham z podziwem, a ona mówi: »- A koledzy mówili, że to taki trudny egzamin!« To ja trudniejsze pytanie - ona dalej śpiewa i wciąż: »A koledzy mówili ...« To ja zadaję cios zwykle nokautujący delikwenta, a ona śpiewa i znów: »A koledzy mówili ...« Postawiłem oczywiście bardzo dobry”.
- Kiedyś Profesor rozpoczął wykład od pytania: „- Panie, jaka jest pańska  $\eta$ ? Są ludzie, którzy na koniec oblanego egzaminu mówią »Panie profesorze, ja się uczyłem przez dwa miesiące«. I co z tego? Widzi pan, ten przed panem twierdził, że uczył się tylko przez tydzień i zdał mimo mojego »boksowania«. Jego  $\eta$  była ponad 90%. Jednemu wystarczy tydzień, drugi nie podola i przez parę miesięcy. Do tego dochodzi ambicja. Jednym wystarczy szkoła realna, inni muszą skończyć szkołę średnią. Są też tacy, co im mało uniwersytetu. Zostają profesorami o mniej lub więcej znanych nazwiskach”.
- W latach pięćdziesiątych zaczęto planować wyniki sesji egzaminacyjnych. W przeciągu dwóch tygodni studenci byli zmuszeni zdać nawet do pięciu egzaminów. Wtedy wydajność Profesora okazała się za niska i pod czujnym okiem Profesora egzaminował zespół katedry. Ale egzamin nie był przez to wcale łatwiejszy i trwał też parę godzin. Nieraz Profesor indagował egzaminującego: „- A układu zracjonalizowanego Lorentza pan pytał? Pytać, pytać, aż delikwent się spoci!”



Znane były przypadki podciągania egzaminowanego: „- Panie, już pan ma dobry, chce pan bardzo dobry?” Bardzo często taka gra kończyła się smutno - niedostatecznym i zaproszeniem do przyjscia za dwa tygodnie. Profesor mówił nieraz: „- Jeżeli profesor jest pies, a asystent świnią, to katedra jest dobrze obsadzona”.

- Studenci bardzo sobie cenili swobodę nie spotykaną w innych katedrach - z kolokwium można było wyjść w chwili, gdy piszący stwierdził, iż nie podoła. I w innym terminie, po bardziej wydajnym przestudiowaniu, kolokwium zaliczało się bez problemu.

- Profesor uważał, że na wyższej uczelni asystent dostaje wynagrodzenie za samodzielne pisanie na tablicy rozwiązywanego zadania, a nie za wyręczanie się studentem, jak to jest w szkole średniej.

- „- Proszę pana, proszę przedstawić krzywą magnesowania rdzenia magnetycznego” - student narysował. „- Panie, w którym miejscu tej charakterystyki pracuje, no dajmy na to, transformator?” - student określa prawidłowo. „- No, a tutaj można?” - pada pytanie i ołówek Profesora pokazuje koniec charakterystyki. Skonfundowany student udaje, że myśli. „- No to jak?” „- Chyba można” - pada odpowiedź. „- Panie, w tym fachu powinien pan wiedzieć, że praca poza kolanem grozi małżeństwem, a w elektryce przepięciami!”.

- Słuchający lub czytający wspomnienia o profesorze Fryzem może wysnuć wniosek, że Profesor był dobrodusznym starszym panem gołębiego serca. W rzeczywistości podczas egzaminu starał się dogłębnie rozpoznać inteligencję i właściwą wiedzę egzaminowanego. Stąd egzamin u Profesora, trwający godzinami (nawet do późnych godzin wieczornych), był głębokim przeżyciem. Do końca nie można było być pewnym pozytywnego wyniku; zdarzało się, że nawet po paru godzinach student wylatywał oblany z kretesem. Najpierw wylatywał student, za nim indeks, a na pożegnanie krzyk Profesora: „- Panie Lubelski!!!” (wtedy adiunkt) „daj pan karabin, a zastrzelę gościa!”.

- Podenerwowany zademonstrowaną podczas egzaminu wiedzą (a raczej niewiedzą) studentki Profesor podniósł głos. Ona, speszona, załapała się łzami i szlochając powiedziała, że jest okrutny. Na to Profesor,



rechocząc: - „Pani jest pierwszą kobietą, która przeze mnie płacze. Dotychczas to ja płakałem przez kobiety, bo całe życie znęcały się nade mną. Już gdy miałem sześć lat, na odpuszcie kupiłem śliczny pierścionek i włożyłem na palec mojej koleżance. Pierścionek miał ostre krawędzie i przy ściąganiu w domu poranił jej palec. Jej matka przyszła do mojej z pretensjami. No i dostałem lanie. Dziś mam jedyną okazję do rewanżu”.

## Egzamin z podstaw elektrotechniki II - wspomina Zofia Czosnek

**S**tudiowałam na Wydziale Elektrycznym Politechniki Śląskiej w latach 1951-56 w grupie T6. Wydział został wtedy pozbawiony specjalności radiotechnika, a w to miejsce powstała grupa T6, tak zwane prądy słabe. Podstawy elektrotechniki I dla tej grupy wykładał profesor Günther z Politechniki Wrocławskiej, a ćwiczenia prowadził mgr Szpilka. Pozostałe grupy słuchały wykładów z tego przedmiotu u profesora dr. inż. Stanisława Fryzego. Na drugim roku jednak i nasza grupa T6 została przeniesiona na podstawy elektrotechniki II do profesora Fryzego. Koledzy mający styczność z Profesorem już na I roku opowiadali nam o nim zwykle niestworzone historie, toteż perspektywa egzaminu z podstaw elektrotechniki II napawała grupę T6 wielkim strachem.

Pamiętnego dnia udałam się w godzinach rannych do Katedry Podstaw Elektrotechniki, która mieściła się zresztą dokładnie w tym samym miejscu co teraz (choć teraz pod inną nazwą). W katedrze byli obecni asystenci: mgr Szpilka, dr Węgrzyn, Marysia (czyli dr Maria Jastrzębska) - nie było natomiast, ku mojej wielkiej radości, profesora Fryzego. Do egzaminu trafiłam do mgr. Szpilki, co przyjąłam z wielką ulgą. Kolejne zadania wykonywałam poprawnie i egzamin zbliżał się już do końca. Nagle drzwi otworzyły się z wielkim hukiem i do katedry wpadł sam profesor Fryze. Powiódł wzrokiem po struchlałych delikwentach i dziarskim krokiem ruszył w moim kierunku. Usiadł przy mnie. Mgr Szpilka delikatnie nadmienił, że właśnie zdałam już u



niego na piątkę. Na to profesor oświadczył: „- Pan skończył, to ja teraz zacznę”.

Najpierw poczęstował mnie cukierkiem - landrynką i zapytał o szkołę średnią i nauczyciela fizyki. Następnie zaczął mnie egzaminować z prądów zmiennych, wymyślając zadania ze zvarciami lub przerwami w obwodach elektrycznych, czyli z kruczkami. Od czasu do czasu wołał kogoś z asystentów i prosił o następne pytanie dla mnie. Na razie udawało mi się z tego boju wychodzić zwycięsko, ale po trzech godzinach egzaminu i rozwiązaniu piętnastu zadań moja kondycja umysłowa pogarszała się z minuty na minutę. Wtedy Profesor zawołał do dr. Węgrzyna: „- Stefan, co by tu jej jeszcze dać?”, a na to ja błyskawicznie powiedziałam: „- Cukierka, panie profesorze!” Profesor zaśmiał się, oczy mu zabłyśły i ze słowami „masz cukierka, daj indeks” wpisał do indeksu „5”, potwierdzając ocenę zamaszystym podpisem.

---

Z pojęciem „kondycja” - choć tym razem nie umysłowa - kojarzy mi się inne wspomnienie. Zbiegając kiedyś po schodach w towarzystwie trzech kolegów spotkałam profesora Fryzego. Na moje przywitanie błysnął okiem i rzekł: „- Musisz mieć trzech, jeden ci nie starczy?” Buńczucznie odpowiedziałam, że to nie wszyscy, bo za nami biegnie cała grupa. Zobaczyłam w oczach Profesora aprobujące ogniki.

## Egzamin z podstaw elektrotechniki - wspomina Władysław Gawliński

**W** grupie około 10 studentów odbywaliśmy egzamin pisemny z podstaw elektrotechniki. Adiunkt Bory rozstawił nas odpowiednio szeroko, abyśmy sobie nie przeszkadzali, i oczekiwaliśmy na Profesora. W pewnym momencie Profesor wpadł na chwilę, dał temat i odszedł, bo miał jakieś inne zajęcie. Tematem były zawieszony na 20-centymetrowych nitkach dwie kulki o tej samej



masie, naładowane jednakowej wielkości ładunkami elektrostatycznymi. Ładunek i masa były dane, należało obliczyć odległość między środkami odchylonych kulek. Zadanie niby dziecinnie proste, tymczasem wynikło z tego równanie trzeciego stopnia i wszelkie próby przekształcenia nie dały rezultatu (nie znaleźliśmy wzorów Cardana). Po pewnym czasie znów wpadł Profesor, niesamowicie nas wyśmiał, że tak prostego zadania nikt nie rozwiązał, nie dał sobie wytłumaczyć (choć adiunkt Bory również próbował), co nam przeszkodziło, i kpiąc sobie z nas: „co to za inżynierowie w przemyśle, którzy nie potrafią rozwiązać tak prostego zadania” - dał nam w końcu nowe zadanie. Był to złożony obwód prądu zmiennego, gdzie występowało wiele gałęzi szeregowo-równoległych, było dużo liczenia i głównie trzeba było uważać, żeby się nie pomylić. Profesor kolejno przystawał za plecami i śledził, jak idzie robota. Jeśli był zadowolony, to ojcowskim gestem zwichrzył włosy delikwenta i szedł do następnego. Jeden z kolegów, zazwyczaj bystry i mający dobrze opanowany materiał, teraz jakoś się pogubił i nie umiał wybrnąć. Profesor zaczął go zwyczajowo odsyłać na architekturę, a w najlepszym razie do powtórzenia egzaminu. Delikwent jednak był odpornej natury i nie dawał się wyrzucić: upierał się, że wszystko umie, tylko tu się zaplątał. Baliśmy się, że zdenerwuje Profesora i ten wszystkich nas odeśle do powtórki. Byliśmy jeszcze pod świeżym wrażeniem profesora Kalińskiego, który utrzymywał studentów na dystans i przy takim zachowaniu zdający wyleciałyby z hukiem. Ale profesor Fryze chwilę przekomarzał się, że kolega pojęcia nie ma, ale gdy ten twardo nie dawał się wyrzucić, zapytał jeszcze raz: „umie pan? umie pan? - no to ma pan następne zadanie”. Kolega rzeczywiście umiał, zadanie rozwiązał, egzamin zaliczył. Profesor docenił w nim nieustępliwość w obronie tego, o czym był głęboko przekonany.



## • Anegdoty, opowieści, powiedzonka

Każdy wykład Profesor wzbogacał opowieściami na tematy życiowe i anegdotami - też z życia. Były też inne powiedzonka wzbudzające wesołość słuchaczy i dające moment odprężenia w procesie nasycania głów wiedzą z podstaw elektrotechniki. Niejednokrotnie z tej ostatniej pozostało niewiele, natomiast materiał uzupełniający przetrwał w pamięci. Z biegiem lat powstawały różne mutacje, lecz sens został zachowany.

- W 1932 roku Profesor uczestniczył w Międzynarodowym Kongresie Elektryków w Paryżu. Był tam z żoną i dlatego zagadkowe były dla nas źródła poniższego pouczenia:

Panie, kiedy masz pan jechać do Paryża, naucz się pan przynajmniej trzech słów po francusku: „combien cout cela”, albowiem gdy wysiądziesz pan z pociągu, otoczą pana chmary prostytutek, i jeżeli się pan nie zapyta ile to kosztuje, nastąpi przygoda z tragicznym końcem. A jak nie będziesz pan miał pieniędzy na zapłatę, to alfonsy tak pana urządzają, że do końca życia odechce się panu tego rodzaju przygód.

- Nie żeń się pan z piękną dziewczyną, bo to plaster miodu, do którego ze wszystkich stron garną się trutnie. A będziesz to pan miał się odpędzać?

- Nie żeń się pan z kobietą chudą. Bo się potem jeszcze bardziej zeschnie, tak że będziesz się pan wołał raczej na desce położyć niż obok niej.

- Flirt jest grzechem, gdy bez granic, lecz bez grzechu flirt jest na nic.

- Rzuciła cię narzeczona, nie rozpaczaj. Narzeczona, jak tramwaj - jedzie jeden za drugim, no, czasem się spóźni.

- Panie, wreszcie się panu jakaś spodoba, zaczniesz ją odwiedzać w domu. Noś ze sobą licę (cienki przewód miedziany, w swoim czasie



powszechnie używany do „reperacji” bezpieczników topikowych)! Naraz w domu gaśnie światło, matka zrozpaczona - co teraz będzie? A pan nic, idzie do tablicy, wykręca bezpiecznik (naturalnie przepalony), wyciąga z portfela licę - i światło jest! Jak w tym momencie pańskie akcje poszły w górę!

- Słynne były wieczorne, publiczne dyskusje profesorów Fryzego i Malarskiego na temat jednostek i strzałkowania. Profesor Fryze stosował przy pisaniu - oprócz białej - kolorowe kredy: czerwoną (jednostki znamionowe) i niebieską (jednostki wymiarowe). W jednej z takich dyskusji uczestniczył ówczesny rektor, który był także (zresztą jak mógłby wtedy nie być?) działaczem partyjnym. Po wysłuchaniu polemik profesorów, rektor zabrał głos popierając stanowisko profesora Fryzego, w szczególności chwalać kolorystykę oznaczeń. Ten z uśmiechem przyjął stanowisko rektora, a skomentował je tak: „No, widzicie, nawet rektorowi moje jednostki się podobają, bo są czerwone!”

- No i wreszcie przychodzi pora, że diabeł zakłada panu różowe okulary, ale następują również chwile przeblysku rozsądku. Ona tymczasem zachowuje się jak doświadczony wędkarz, który zarzucił na haczyku przynętę i czeka. Ryba zaczyna brać - duża sztuka, zachodzi obawa urwania żyłki. Wędkarz delikatnie ciągnie, a gdy ryba poczuje ciągnięcie, zaczyna się niepokoić i rzucać, wtedy on popuszcza - i tak ta zabawa może trwać nawet długo. Tak robi i dziewczyna - ciągnie, a gdy pan się zaczyna denerwować - popuszcza. Pan zaczyna się cieszyć: znów jestem wolny! - a ona pociąga i dalej od nowa, a potem chlast! - poderwie i już pan przysięgasz miłość, wierność i temu podobne bzdury, których żaden mężczyzna nigdy nie dotrzymał i nie dotrzyma. No, a potem jak wielbłąd się wyteża - oto rola męża.

- Kiedyś, omawiając działanie maszyny synchronicznej w stanie zwarcia, Profesor powiedział: „Tylko maszyna synchroniczna i kobieta są w zwarcu nienasycone”.

- Jest pan po ślubie we własnym mieszkaniu. Żona zaczyna przyrządzać pierwsze śniadanie, w tym jajecznicę na boczku. Patrzysz pan i oczom nie wierzysz - co ona robi? Najpierw na patelnię wbiła sześć jajek, potem płaty boczku i cebulę. Kochanie, tak się nie robi, kto cię



uczył gotowania?! I w tym momencie w mózgu zjawia się sygnał - a co to będzie z obiadem?...

- Nie sztuka mieć dzieci, sztuką jest ich nie mieć.
- Wykłady były demonstrowane. Układy montowali panowie asystenci i niezawodny laborant - jeszcze ze Lwowa - pan Aleksander Kaszuba. Kiedyś demonstrowano działanie prądów Foucaulta. Obiektem pokazu była cewka nawinięta na rurę o długości kilkakrotnie większej od długości cewki, włączana pod napięcie. Na rurze nasadzony był luźno pierścień aluminiowy. W momencie włączania napięcia pierścień podskakiwał do góry. Po kilkakrotnym zademonstrowaniu zjawiska Profesor uśmiechnął się szelmowsko, błysnął białkami oczu i zawołał: „Panie, jest pomysł na elektryczne działło! Ba, ale jak to zrobić - gdybym wiedział, nie musiałbym tutaj wykładać”. Przy tej okazji, choć nie tylko, często mówił, że wynalazki dokonywane są w większości przez ludzi nie posiadających głębokiej wiedzy teoretycznej (Edison), która bardzo przeszkadza w twórczym myśleniu, wynajdując trudności nie do pokonania.
- Wszystkie moje znajome sprzed trzydziestu lat niesamowicie się zestarzały, a moja żona od trzydziestu lat nic się nie zmieniła.
- Proszę pani, mając do czynienia z mężczyzną należy pamiętać, że jest to stworzenie, które co innego myśli, co innego mówi, a jeszcze co innego chciałoby zrobić.
- Krótka spódniczka szpeci kobietę! Kobieta powinna nosić spódnicę długą, rozszerzającą się ku dołowi, tak żeby mężczyzna myślał, że ma nogi do samej szyi - i nie roił sobie głupich myśli. (*Studentki, które przyszły na egzamin w krótkich spódniczkach, przed wejściem do katedry opuszczały je sobie jak najniżej, maskując operację ubraniem długiego, rozpinanego „przechodniego” swetra*).
- Szeptem do bardzo ładnej studentki: - Pani, drogie dziecko, nie musisz się uczyć, bo szybko wyjdiesz za mąż.
- Regułą jest, że każdy skutek poprzedza przyczyna. (*Po chwili namysłu*) Z jednym tylko wyjątkiem: gdy lekarz idzie za trumną pacjenta.



- Równanie na powodzenie w życiu:

$$p = w + t + S$$

gdzie: w - wiadomości, t - czas, S - stosunki z ludźmi.

- Profesor Fryze, pasąc swoją krowę, czytał książkę. Przejeżdżający obok samochód z zagraniczną rejestracją zatrzymał się i kierowca zapytał Profesora o drogę. Po jakimś czasie w zagranicznej prasie ukazał się artykuł opisujący wrażenia z pobytu w Polsce, przy czym znamienne było jedno zdanie: „Polska to taki dziwny kraj, w którym pastuch czyta Kanta w oryginale”.
- Pod Katedrą Podstaw, w miejscu określanym niekiedy jako „ściana płaczu”, studenci czekają na egzamin. Jeden z odważniejszych zagląda przez dziurkę od klucza. Wtem otwierają się drzwi, wyłania się ręka łapiąca studenta za kołnierz i słysząc głos Profesora: „Nie męcz pan wzroku, wejdź pan tu”.
- Mówiąc o prawach Kirchhoffa, profesor Fryze komentował jego nazwisko: „Ten to sobie użył, ma w nazwisku ce-ha, samo ha i dwa ef”.
- Mądry człowiek wie, co mówi - głupi mówi, co wie.
- W czasie drugiej wojny światowej podczas sowieckiej okupacji Lwowa władze aresztowały profesora Fryzego i osadziły w więzieniu. W celi nie było żadnego sprzętu ani pośłania, spać trzeba było na gołym betonie. Pod pozorem potrzeby studiowania polityki nowych przemian Profesor wyjednał sobie dostawę prasy codziennej. Wielkie płachty „Prawdy” posłużyły mu jako pośłanie i przykrycie. Na wykładzie, podczas którego opowiedział nam tę historijkę, Profesor chwalił zalety sowieckich gazet jako otuliny cieplnej i zakończył swą opowieść słowami: - Gdy dostaniecie się do więzienia, czytajcie prasę!





Profesor Fryze czyta Kanta (w oryginale)





Zaduma ...



- Jak wsiadasz pan do tramwaju, to trzymaj się za kieszeń. Przy wysiadaniu możesz pan wtedy powiedzieć, że są jednak uczciwi ludzie na świecie.
- Jak jedziesz pan na ośle, nie zaszkodzi go czasem pogłaskać.





## • Wspomnienia

Zamieszczono tutaj wspomnienia słuchaczy Profesora o zdarzeniach, jakie miały miejsce, a których byli świadkami, lub znają je z opowiadania. Wprawdzie prawnicy twierdzą, że nikt tak nie zniekształci prawdy jak naoczny świadek, ale przecież relacja serca ważniejsza jest od zawodnej pamięci ...

### Wspomina Tadeusz Lipiński

W roku 1955 Wydział obchodził 10-lecie powstania - swoje i Uczelni. Odbywały się zebrania i sesje naukowe. Na jednej z nich dwaj (wtedy) adiunkci Jerzy Kubek i Władysław Paszek wygłosili referat, w którym przedstawili wyniki swej pracy dotyczącej samosynchronizacji generatorów napędzanych turbinami wodnymi. Pracę wykonali w elektrowni wodnej Rożnów. Po zreferowaniu tematu przez kol. Paszka (w momencie osiągnięcia przez generator obrotów podsynchronicznych włącza się wzbudzenie i następuje samosynchronizacja) jako pierwszy zabrał głos profesor Fryze: „- Ja z tego nic nie rozumiem”. „- Czego pan profesor nie rozumie?” - pyta kolega Paszek. „- Nic nie rozumiem” - pada odpowiedź. Referent podchodzi do tablicy, pisze znany wzór na pracę generatora synchronicznego w sieci

$$P = \frac{E_1 E_2}{X} \sin \delta$$

i jeszcze raz referuje temat. „Teraz pan profesor rozumie?”. „- Nie!!!” - podtrzymuje zdecydowanie profesor Fryze. „- To ja panu profesorowi



wytłumaczą, jak największemu dyletantowi” - mówi kolega Paszek i zaczyna pisać na tablicy: „- Po pierwsze: mamy sieć elektroenergetyczną ...” - i w tym momencie Profesor oświadcza: „- Jak jest sieć, to już teraz rozumiem wszystko”. Na to referent: „- A pan profesor myślał, że to jest elektrownia lwowska?” Zebrani wybuchnęli śmiechem, a najgłośniej Profesor, który dodał: „Tak trzeba tłumaczyć!”

- W roku 1954, podczas egzaminu dyplomowego absolwentów I stopnia studiów inżynierskich, kilkunastu zdających nie zdołało obronić pracy dyplomowej. Zaingerowała przewodnia - w tamtych czasach - siła narodu. Zwołano otwarte zebranie partyjne poświęcone zdarzeniu i jego przyczynom. Sekretarz Wydziału Elektrycznego wygłosił „odpowiedni referat z krótkimi wnioskami”. Jako pierwszy zabrał głos profesor Fryze. „- Panowie, ja się dziwię, że młodzież w warunkach, gdy się ją stale ciąga, a to na żniwa, a to do kopalni lub na wykopki, jeszcze się chce uczyć. Gdy Fryze pracuje, to nikt nie może mu przeszkadzać. Nawet gdy żona wejdzie z obiadem bez zezwolenia, najpierw wylatuje obiad, a potem żona. Podobno podczas tych dodatkowych prac studentów był nawet śmiertelny wypadek! A tymczasem wojsko w koszarach byczy się! Posłać ich na żniwa, jeszcze jeden z drugim byłby zadowolony, mogąc Mańkę złapać za kolano”. Tutaj studenci zaczęli bić brawo, a kierownictwo oniemiało.

- Profesor był zwolennikiem stosowania w elektrotechnice terminologii, którą nazywał międzynarodową. I krzyczał: „- Panie, nie silnik, lecz **motorrrr!** Nie wirnik, lecz **rotorrrr!** Nie prądnica, lecz **generatorrrr!**” - niepowtarzalne »r« Profesora wystarczyło za wszelkie argumenty. Ale Profesor kontynuował: „Człowiek zaczyna swoje życie od butelki i kończy na katafalku. Ani jedno, ani drugie nie jest terminem polskim. Wobec tego po co między początkiem a końcem życia wszystko spolszczać”. Złościło go wprowadzanie przez ośrodek warszawski terminów »posobny« zamiast »szeregowy« i »oboczny« zamiast »równoległy«. A co przy tym naopowiadał? Szkoda, że nie było wtedy w powszechnym użyciu magnetofonów.

- Pisząc na tablicy, Profesor jednocześnie mówił, co pisze, dzwięcznym głosem. Ale w niektórych momentach podnosił głos nawet do krzyku. Ale już za moment obracał się do sali i z uśmiechem rzucał:



„- Pytasz pan, dlaczego tak krzyczę? Budzę tych, którzy w ostatnich rządach usnęli”.

- Któregoś dnia 1951 roku, wchodząc na salę nr 21, w której odbywały się wykłady z elektrotechniki, od samych drzwi Profesor zaczął podniesionym głosem: „- Jest wśród was dureń, jest wśród was kretyn, jest wśród was ...” - byliśmy przerażeni, a Profesor ciągnął dalej - „który poszedł do Jego Magnificencji Rektora ze skargą, że Fryze, zamiast wykładać elektrotechnikę, opowiada dykteryjki. Ten dureń, ten kretyn, ten ... nie rozumie, że to, co Fryze według niego ma wykładać, to można przeczytać w każdym podręczniku, a tego, co wykłada, to nikt nigdy nie napisał, i młodzież od lat popełnia w życiu te same błędy”. Podzielaliśmy gniew Profesora, a jeden z naszych(?) nie przystąpił do egzaminu unikając Katedry Podstaw Elektrotechniki i w konsekwencji, mimo dobrych wyników w innych katedrach, „zakończył” studia wcześniej, niż zamierzał.

- Podobno, gdy w 1947 roku w Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego powstała koncepcja wprowadzenia studiów dwustopniowych: inżynierskich - zawodowych i magisterskich, na spotkaniu w Gliwicach zagadnienie referowała wiceminister Krassowska. Profesor był zdecydowanym przeciwnikiem tego pomysłu i w dyskusji oświadczył wprost: „- Jak na pani rozkaz kobiety będą rodzić w szóstym miesiącu, to ja będę wypuszczał inżynierów po sześciu semestrach”.

- Profesor był zawsze bardzo punktualny i wykład rozpoczynał - z kwadransem! - co do minuty. Przy tym wtedy (mowa o roku 1951) obowiązywała bezwzględna dyscyplina uczęszczania na wszystkie zajęcia, a starostowie grup mieli obowiązek codziennie składać w dziekanacie raport z obecności. A tu pewnego dnia jest 15 minut po pełnej godzinie, 20, 25, a Profesora nie ma; starostowie speszeni - co robić? Naraz drzwi do sali 21 otwierają się i od drzwi Profesor rozpoczyna dwugodzinny wykład. Ale 10 minut przed końcem oznajmia z uśmiechem: „- Ponieważ się spóźniłem, to muszę wcześniej wyjść. Dziękuję państwu, do widzenia”. I wyszedł.



## Wspomina Zygmunt Kuczewski, syn ówczesnego rektora

**K**iedyś do gabinetu rektora wpada mocno wzburzony profesor Fryze i od progu zdenerwowanym głosem informuje rektora, że dzisiejszej nocy ukradziono jego krowę. Rektor, widząc stan Profesora, wyraża mu współczucie i prosi, aby usiadł. „- Ja nie przyszedłem tutaj po współczucie” - odpowiedział Profesor - „ale po to, aby pan rektor pomógł mi w odszukaniu mojej krowy!”

## Wspomina Wilibald Winkler, obecny rektor

**P**odczas uroczystości 50-lecia istnienia Politechniki Wrocławskiej jeden z profesorów Wydziału Elektrycznego tej uczelni zwrócił się do mnie z zapytaniem, czy wiem, dlaczego profesor Fryze, zamiast - jak to ponoć było zaplanowane - przyjechać do Wrocławia, utknął w Gliwicach. Zgodnie z prawdą odpowiedziałem, że nie wiem. Na to usłyszałem: „- Bo widzi pan, nasza uczelnia mogła oferować Profesorowi tylko mieszkanie, zaś Politechnika Śląska dała mu jeszcze garaż, gdzie Profesor trzymał swoją ulubioną krowę, którą przywiózł ze Lwowa”.

## Wspomina Zofia Cichowska

**Z** profesorem Fryzem zetknęłam się po raz pierwszy w 1952 roku, będąc na pierwszym roku studiów. Wykłady z podstaw elektrotechniki zaczynały się, tak jak i obecnie, na drugim semestrze. Nie były to już pionierskie lata organizacji Politechniki Śląskiej. Uczelnia funkcjonowała normalnie. Audytoria i laboratoria były już wyposażone dobrze. Zaczynały wychodzić skrypty. Wpraw-



dzie podręczników i skryptów z elektrotechniki jeszcze nie było - skrypt profesora Fryzego „Prądy zmienne” wyszedł dopiero w 1954 roku - ale krążyły wśród studentów maszynopisy dużych fragmentów lwowskich skryptów Profesora.

Na studia wstępowały roczniki, które miały za sobą normalny cykl kształcenia w szkołach średnich. Zainteresowanie studiami technicznymi było ogromne, a dostanie się na studia poprzedzone, ze względu na dużą liczbę kandydatów, trudnym egzaminem konkursowym.

Z niecierpliwością czekaliśmy na pierwsze spotkanie z profesorem Fryzem, człowiekiem owianym legendą czasów lwowskich i pierwszych pionierskich lat gliwickich. Od starszych kolegów słyszeliśmy wiele barwnych opowieści o Profesorze, jak choćby tę o dowcipie zrobionym przez studentów w laboratorium:

Wykonując jakieś doświadczenie w laboratorium i nie chcąc, żeby ktoś wyłączył układ, Profesor oparł na stoliku kartkę z napisem następującej treści: „Nie wyłączać, wyłączy się samo - Fryze”. Studenci przełożyli kartkę na odkręcony kran z wodą. Laborant nie miał odwagi zakręcić wody, widząc wyraźny podpis Profesora. Skutek był oczywisty - laboratorium zostało zalane, ale Profesor, mający nadzwyczajne poczucie humoru, skwitował zdarzenie śmiechem.

Był rok 1952. Profesor miał już 67 lat. Wykłady z podstaw elektrotechniki odbywały się wtedy w sali 21 - wielkim, mieszczącym przeszło dwieście osób, amfiteatralnym audytorium. Sala ta nie istnieje już w dawnej postaci. Po kilkunastu latach przebudowano ją na dwie sale 21 i 22, które - po kolejnych przeróbkach - noszą obecnie numery 102 i 103. Ówczesna sala 21 z wielką, podłużną katedrą, na której ustawiane były zestawy do demonstracji, z czterema olbrzymimi, czarnymi, przesuwanymi do góry tablicami była wspaniałą oprawą dla wykładów profesora Fryzego. Na pierwszy wykład, poprzedzony rozwieszeniem plansz i przygotowaniem przyrządów do demonstracji, czekaliśmy niecierpliwie. Sala była zatłoczona do ostatniego miejsca. Profesor Fryze zjawił się punktualnie. Ten niewysoki, starszy pan zafascynował nas od pierwszego wykładu. Zaczął nas wprowadzać w niełatwą dziedzinę elektrotechniki. Słuchaliśmy w skupieniu i z uwagą. Ten i następne wykłady były naprawdę wspaniałe,



mimo że znaczną trudność stanowiło dla nas nienadążanie matematyki, na której przerabiany był dopiero rachunek różniczkowy, podczas gdy od pierwszego wykładu pojawiła się oczywiście  $\int \overline{K dl}$ .

Gwoli wyjaśnienia - natężenie pola elektrycznego oznaczano podówczas literą  $K$ , a nie  $E$ , jak obecnie. Profesor słysząc nasze protesty na temat nieznamości całek wyjaśnił nam pokrótce interpretację całki obiecując, że niebawem poznamy jej uzasadnienie matematyczne.

Profesor wymagał od przyszłych inżynierów elektryków przede wszystkim myślenia i wyobraźni. Na wykładach często powtarzał: „Jak pan nie masz wyobraźni, to przepis się pan na medycynę lub architekturę”.

Oprócz teorii elektrotechniki uczył nas też inżynierskiego podejścia do przyszłego zawodu, a nawet życiowego sprytu. Wpłatał czasem w wykład opowiadania ze swej praktyki inżynierskiej, na przykład to o ekspertyzie grzejników elektrycznych w teatrze lwowskim:

Grzejniki te nagminnie się przepalały. Wezwany Profesor obejrzał je, kazał przemontować we właściwe, pionowe ustawienie, konieczne ze względu na warunki chłodzenia, po czym wystawił bardzo wygórowany rachunek. Na protesty dyrekcji teatru, że to była przecież taka prosta sprawa, odpowiedział: „Tak, ale ja wiedziałem, co należy zrobić i za to właśnie trzeba zapłacić”.

Egzaminy z podstaw elektrotechniki stanowiły zawsze niemały problem dla studentów. Strach często wręcz paraliżował delikwenta. Powszechnie znana jest anegdotka egzaminacyjna o sinusoidzie: „- Narysuj pan sinusoidę” - mówi Profesor egzaminowanemu studentowi. Student drżącą ręką zaczyna rysować coś przypominającego wążutki wężyk. „- I pan chce być elektrykiem?! To ma być sinusoida?!” - grzmi Profesor. „- Nnie, tto ddopiero o-o-oś iksów” - wykrztusił trzęsący się student.

Wprawdzie profesor Fryze często pouczał nas, że w czasie egzaminu ważne jest, żeby myśleć i nie dać się zaskoczyć, ale wcielić tę radę w życie i zdać egzamin z podstaw nie było rzeczą prostą. Kiedyś Profesor powiedział nam: „Na kłopotliwe pytanie, na które nie znasz pan odpowiedzi, mów pan »to zależy«, żeby zyskać na czasie, a potem



zaczynj pan intensywnie myśleć, żeby dojść szybko do tej właściwej, uzasadnionej logicznie odpowiedzi”. Przy tej okazji Profesor opowiedział nam swoje wspomnienie z egzaminu maturalnego. Zapytany, jaką drogą wyprawy krzyżowe docierały do Ziemi Świętej i nie mając o tym zupełnie pojęcia, spojrział na rozwieszoną mapę Europy i wydedukował, że nikt logicznie myślący nie pchał się chyba przez góry, a widząc zielony kolor na mapie wzdłuż Dunaju odpowiedział pewnie: „oczywiście, doliną Dunaju”.

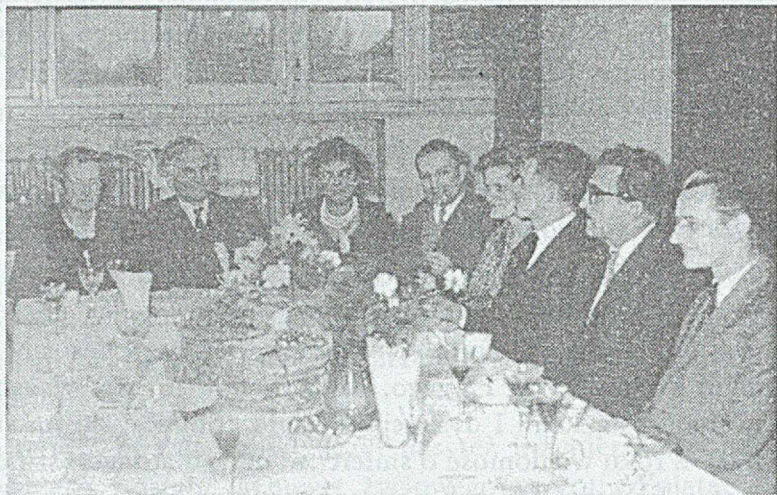
Znane były na Uczelni, trwające od czasów lwowskich, spory profesora Fryzego z profesorem Malarskim. Prywatnie przyjaciele, na polu naukowym byli antagonistami. Opowiadano, że gdy profesor Malarski przychodził do profesora Fryzego, to wszystkie krzesła w gabinecie były zawalone książkami i dyskusja musiała odbywać się na stojąco. Wiosną 1952 roku wiadomość o śmierci wielkiego antagonisty dotarła do profesora Fryzego podczas prowadzonego wykładu i wywarła na nim bardzo duże wrażenie. Przerwał wykład, zauważyliśmy, że wyraźnie posmutniał, zarządził chwilę ciszy, i już do końca wykładu pozostał przygnębiony i pełen refleksji.

W czasie naszych studiów słuchaliśmy wielu doskonale wykładających profesorów, jednak sposób prowadzenia wykładów i indywidualność profesora Fryzego były czymś niepowtarzalnym. Innych profesorów lubiliśmy, ceniliśmy - Fryzego po prostu kochaliśmy. Każdy z nas, mimo że minęło już tyle lat, ma go stale żywo w pamięci. Niewysoki, starszy pan o zdecydowanym wyrazie twarzy, często z uśmiechem w oczach, o bujnej, szpakowatej czuprynie, zjednywał sobie szacunek i podziw studentów. Jego osobowość wywierała niezatarte piętno.

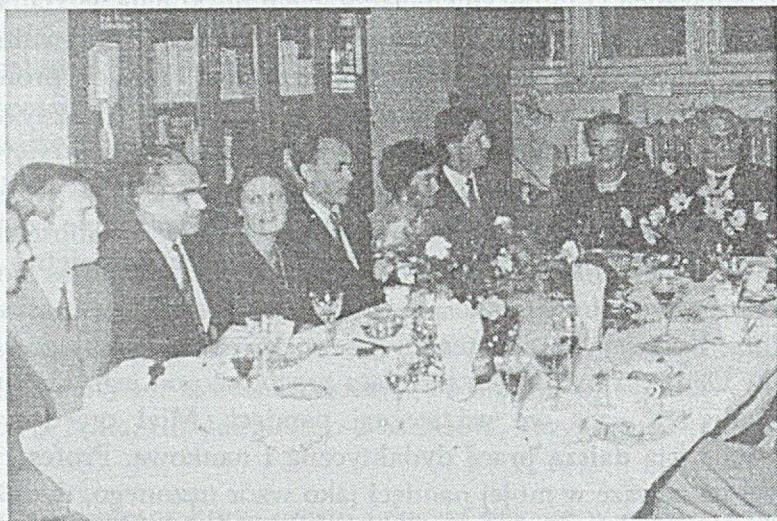
Po skończeniu studiów i roku pracy w przemyśle zostałam asystentką Profesora. Byłam jedną z czterech ostatnich osób przez niego angażowanych. Dane mi było tylko trzy lata pracować pod jego kierunkiem. Zachowuję ten czas we wdzięcznej pamięci. Miał on decydujący wpływ na moją dalszą pracę dydaktyczną i naukową. Profesor Fryze pozostał na zawsze w mojej pamięci jako wzór uczonego, dydaktyka i człowieka życzliwego ludziom i bardzo wymagającego, tak samo od siebie, jak od innych.



*Profesor Fryze ze swymi współpracownikami w 75 urodziny*

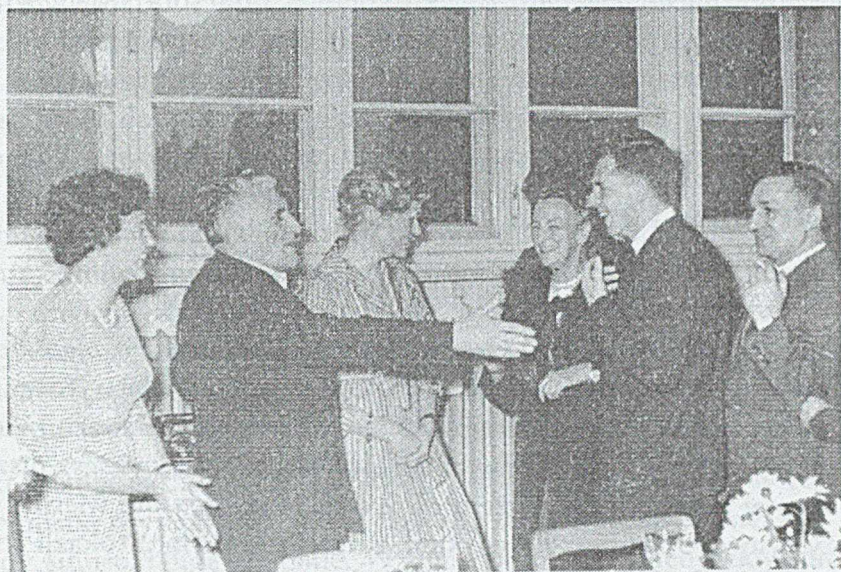


*Od lewej siedzą: żona Anna Fryze, Jubilat, Maria Jastrzębska, Jacek Grzybowski, Zofia Jurasz, Zdzisław Pogoda, Aleksander Kaszuba, Miron Kozicki.*



*Od lewej siedzą: Adam Bukowy, Ryszard Gessing, Witold Paczeński, Maria Wiśniowska, Zygmunt Nowomiejski, Anna Skrzywan, Adam Macura, Anna Fryze, Jubilat.*





*75 urodziny profesora Fryzego obchodzone w Katedrze - Profesor, jak zwykle, otoczony paniami. Stoją od lewej: Anna Skrzywan, Jubilat, Zofia Jurasz, Anna Fryze, Zdzisław Pogoda, Jacek Grzybowski.*

## Wspomina Kazimierz Niemiec

**N**asz kolega Leszek Ch., którego ojciec był adwokatem, zwrócił się do profesora Fryzego o ekspertyzę w sprawie pożaru, który nastąpił przy włączeniu pod napięcie sieci elektrycznej w jednej ze wsi w pobliżu Bełchatowa. „- W czym imieniu występuje pański ojciec?” - pyta Fryze. „- Po stronie chłopów” - odpowiada kolega. „- Czy ktoś zginął?” - indaguje dalej Fryze. „- Nie” - odpowiada kolega. Ze względów kurtuazyjnych koszt usługi nie został ustalony. Przy odbiorze ekspertyzy Leszek, znając nauki Profesora „żeby się nie dać wykiwać”, przygotował portfel z plikiem banknotów. Profesor, zapytany o wysokość honorarium, podał niezbyt wysoką kwotę. Leszek wyciągnął portfel, odliczył z pliku żadaną kwotę i spokojnie



schował portfel do kieszeni. Błysk w oczach Profesora świadczył, iż rozumiał, że natrafił na pojętnego ucznia i tym razem to on dał się wykiwać.

## Wspomina Tadeusz Glinka

Jedna ze słynnych maksym życiowych profesora Fryzego dotyczyła jasności wypowiedzi, prostego i zrozumiałego formułowania wszelkich tekstów pisanych, a w szczególności artykułów, skryptów i książek. Często powtarzał: „Im więcej potu wylejesz pisząc, tym łatwiej czytający cię zrozumie”. Zasadzie tej sam był wierny. Na uroczystym spotkaniu koleżeńskim, zorganizowanym z okazji 100-lecia urodzin Profesora, jego były adiunkt opowiedział, w jaki sposób powstawał skrypt profesora Fryzego „Prądy zmienne”. Otóż niektóre sformułowania pisał dziesięć i więcej razy, każde na osobnej kartce, rozkładał je na dużym stole, kolejno czytał i radził się swego adiunkta, którą wersję wybrać. Ponieważ trudno było się zdecydować, Profesor polecił mu usiąść i pisać kolejne wersje. Dlatego też „Prądy zmienne” oraz inne skrypty i artykuły profesora Fryzego można polecić wszystkim pracownikom naukowym z profesorami włącznie, a zwłaszcza nauczycielom akademickim, jako wzór prostoty i celności wypowiedzi.

## Wspomina Ryszard Rut

Miałem szczęście! Związana z nazwiskiem profesora Stanisława Fryzego historia, której byłem przypadkowym bohaterem, pozostała w mej pamięci i mimo upływu czasu zawsze wspominam ją z dużą dozą radosnego rozrzewnienia.



Był rok 1959. Pierwsze wykłady, jakich słuchałem u profesora Fryzego, zrobiły na nas wszystkich wielkie wrażenie. Rytuał rozpoczęcia wykładów, wejście Profesora oraz grupy towarzyszących mu asystentów do sali 21 i pilnującego wejścia do sali pana laboranta Kaszuby - tworzyły klimat, którego zapomnieć się nie da. Oryginalność wygłaszania wykładów i mądrości życiowych - „aby ręki nie złamać i nogi oraz alimentów nie płacić” - powodowała, że bardzo pilnie chłonęliśmy niemal każde słowo Profesora. Fama o pogromach egzaminacyjnych i bezwzględnych wymaganiach spowodowała, że uczyliśmy się podstaw elektrotechniki w sposób bardzo przykładowy. Szaleńcza niemal radość u starszych kolegów ze zdanego egzaminu uzasadniała nasz lęk przed tym, co może nastąpić.

Fakt zdania egzaminu z prądów stałych wprowadził mnie w bardziej optymistyczny nastrój. Rozpoczął się semestr letni, a wraz z nim prądy sinusoidalnie zmienne. W tym czasie, dość nieoczekiwanie, od swojej „przyszywanej” ciotki, będącej w dużej zażyłości z państwem Fryze, otrzymałem propozycję „nie do odrzucenia” - stawienia się w domu u profesora Fryzego. Była to niepokojąco dziwna propozycja, niemniej przyjąłem ją, kierowany emocją osobistego poznania Profesora. Nie mając żadnych zahamowań, bogaty w doświadczenia pierwszego (pozytywnego!) semestru podstaw elektrotechniki, stawilem się o wyznaczonej godzinie w domu przy ulicy Kaszubskiej, gdzie państwo Anna i Stanisław Fryze zajmowali mieszkanie na piętrze. Powitała mnie w progu siwa pani w czerni, o niezwyklej dobroci i pogodzie ducha, żona Profesora, Anna Fryze. Profesor zabrał mnie do swego gabinetu, kazał usiąść przy stole. Dał mi papier, kolorowe ołówki, ołówek zwykły i gumkę do wycierania i zaczął mnie najwyuczajniej odpytywać. Robił to z właściwą sobie energią i pohukiwaniem. Po początkowym oszołomieniu odzyskałem refleks i podjąłem tę bardzo nierówną walkę na śmierć i życie. Moje zmagania zakończyła seria gromkich nakazów, zakazów, porad, których Profesor mi nie skąpił, a które przytłaczały i ograniczały moją dotychczasową niezależność. Niemniej musiało to wszystko wypaść w miarę dobrze, skoro zostałem zaproszony do stołu i podjęty mlekiem i białym serem, do wytworzenia którego służyła krowa trzymana w garażu i wypasana przez niepodważalny autorytet w sprawach domowych i



sąsiedzkich - służącą Kaśkę. Podwieczorek był niezapomnianą chwilą. Profesor był pogodny, radosny, pozwolił zadawać sobie pytania i na niektóre odpowiadał obszernie. Zachowując umiar podziękowałem za wszystko i ku memu zdziwieniu wręcz nakazano mi stawić się znów za tydzień o wyznaczonej porze. Wtedy zrozumiałem, że skończyły się żarty, a zaczynają schody.

Efektom kolejnych moich wizyt, prócz regularnych odpytywań z elektrotechniki, były pełne ekspresji opowieści profesora Fryzego o jego edukacji we Lwowie. Historię tę, godną scenariusza filmowego, muszę przytoczyć w całości. Usłyszałem ją od samego Profesora i wprawiła mnie ona w niemy zachwyt. Relację przytoczę wspierając swoją pamięć fragmentem biografii napisanej przez żonę Profesora.

„Jest rok 1912. Stanisław Fryze był studentem drugiego roku Politechniki Lwowskiej, gdy ogłoszono w grudniu 1912 roku częściową mobilizację armii austriackiej. Był to okres niepokoїв w Bośni i Hercegowinie. S. Fryze zostaje powołany do służby wojskowej w austriackiej marynarce wojennej w Poli. S. Fryze wraca z Poli do Lwowa po pięciomiesięcznej przerwie w studiach. Postanawia jednak „nie stracić roku”. Na nadrobienie trzeba było poświęcić niejedną noc w laboratoriach politechniki. Do pomiarów maszyn nie wystarczał jednak sam student. Pomocnikami byli - jeden ze starych woźnych i narzeczona Anna (późniejsza żona Anna Fryze). Zaległości zostały odrobione i rok akademicki 1912/13, a więc drugi rok studiów uratowany.

Rok 1914. Wybuch I wojny światowej w lipcu 1914 roku przerywa po raz drugi Stanisławowi Fryzemu studia na Politechnice. Mobilizacją i ponowny wyjazd do marynarki wojennej w Poli. W Poli odbywa S. Fryze służbę kolejno na torpedowcu S1, na pancerniku SMS Tegetthof, na pancerniku SMS Arpad. A wydawałoby się, że ten pobyt przy marynarce wojennej przekreśli definitywnie dalsze studia. Nic podobnego. To nie był czas stracony dla studiów i nauki, ponieważ S. Fryze spędzał z zeszytem i ołówkiem w rękę każdą wolną od służby wojskowej chwilę. We Lwowie przebywająca narzeczona pożyczła wykłady od kolegów S. Fryzego zwolnionych z wojska i uczęszczających na Politechnikę Lwowską, przepisywała je, kalkowała rysunki i posyłała do Poli materiał do nauki. Niełatwa była nauka na



okręcie wojennym wśród gwaru kolegów, bez własnego miejsca przy stole, bez schowka na książki i zeszyty, bo materiał do nauki narastał. Za wykładami jechały do Poli dzieła naukowe - a okręt wojenny nie dysponował pomieszczeniami na bibliotekę. Toteż często spadały na S. Fryzego kary za ukrytą gdzieś w maszynowni książkę - tzw. Einzelarest. Odosobnienie w tak małej celce, że można w niej było albo tylko siedzieć na żelaznej podłodze, albo leżeć na plecach wznosząc nogi prostopadle do góry. Kary te były jednak witane radośnie, bo dawały mu wymarzoną samotność i czas do nauki.”

Wysłuchałem tego wszystkiego uważnie, ale wątpliwości zbyt wyraźnie były wypisane na mojej twarzy. Profesor otworzył szafę i wyciągnął przepisywane we Lwowie przez ówczesną narzeczoną Annę wykłady, które oprawione w skórę przechowywał przez wiele dziesiątków lat, i które oparły się wielu przesiedleniom. Ożyły wspomnienia i Profesor był wyraźnie wzruszony. I mnie ogarnęło wzruszenie, tym bardziej, że obecna przy tym Profesorowa z wypiekami na twarzy uzupełniała tę historię szczegółami, tak jakby to było kilka dni temu - a przecież minęło od tego czasu kilkadziesiąt lat.

Tak mijały tygodnie, i ten niemal idylliczny dla mnie stan został przerwany przez wzywający mnie do Profesora telefon. Było to dziwne, bo nie był to czas mi wyznaczony. Profesorowa z bardzo zatroskaną miną poprosiła, abym zaczekał na Profesora w jego gabinecie. Po wejściu, bez specjalnych wstępów, profesor Fryze w bezwzględnej formie zaczął przywoływać mnie do porządku mówiąc, abym przestał grać w karty, pić wódkę i zadawać się z kobietami lekkich obyczajów. Próby jakichkolwiek wyjaśnień wzmacniały tylko huragan Profesorskich tyrad. Zamieniony prawie w słup soli, wychodziłem jak po ciężkim nokaucie. Już nie było mleczka i kanapek z białym serem. Przerazona Profesorowa kazała mi się uczyć i słuchać Profesora. Byłem zaszokowany. Trudno było mi sprawę rozwikłać. Moja „przyszywana” ciotka i otoczenie związane z domem państwa Fryze reagoowało na moją obecność chłodno i powściągliwie.

Poszedłem na egzamin z elektrotechniki. Zostałem „ścięty” w klasyczny sposób. Wezwany przed oblicze Profesora zostałem poinformowany, że otrzymuję jeszcze jedną i ostateczną szansę zdania egza-



minu po wakacjach i jeżeli tej szansy nie wykorzystam, to mogę się wynosić na wydział węglowy - tak Profesor nazywał Wydział Górniczy. Nie pozostawało mi nic innego, jak podjąć wyzwanie. W czasie wakacji rozwiązałem kilkaset zadań z elektrotechniki i po wakacjach zgłosiłem się do egzaminu poprawkowego. Pamiętam, że pisemny - pięć zadań - wykonałem bezbłędnie i w obowiązujących kolorach, zaś egzamin ustny u pani dr Marii Jastrzębskiej zdawałem w towarzystwie profesora Fryzego, który zwawo chodził po sali i nakazywał pytać dalej. Po prawie dwugodzinnym egzaminie otrzymałem ocenę dobrą. Profesor powiedział, że w terminie poprawkowym lepszej mi nie da. Po uzyskaniu wpisu zostałem jeszcze raz wezwany przed oblicze Profesora do domu i, w cieplejszym już klimacie, po wysłuchaniu wielu przykazań zostałem obdarowany książką Profesora „Prądy zmienne” z jego podpisem. Tę książkę mam do dzisiaj i jest ona dla mnie cenną pamiątką.

Nadal jednak tkwiło we mnie poczucie krzywdy. Nie mogłem się pogodzić z sytuacją, która przedstawiała mnie w sposób dwuznaczny. Wśród znajomych związanych z profesorem Fryzem dawałem temu emocjonalny wyraz. Zbywano to wymownym milczeniem. Ale po pewnym czasie zauważyłem, że zaczęto mnie przygotowywać na przyjęcie wyjaśnienia tajemnicy incydentu.

Państwo Fryze byli bezdzietni. Ale wielka ich dobroć powodowała, że opiekowali się młodymi ludźmi, wspierając ich materialnie, kształcąc i pomagając w stabilizacji. Stąd też, kierując się odruchem serca, postanowili otoczyć mnie „dyskretnym” nadzorem, abym nie zszedł na złą drogę. Mieszkałem w akademiku przy ulicy Marcina Strzody. Tkwiłem zatem w samym centrum wszelkich pokus. Wysyłali w celu zebrania o mnie informacji swą służącą Kaśkę, która będąc w dobrej komitywie z gronem portierów, sprzątaczek i kucharek (na parterze była studencka stołówka) przynosiła wieści pozytywne o moim prowadzeniu się. Przynoszone przez Kaśkę cotygodniowe informacje były widocznie na tyle dobre, że stworzyły pewien optymizm w prognozie mej przyszłości. Aż pewnego razu portierkę, która wyszła na zakupy, zastępował któryś ze starszych studentów (domyślam się, kto) i z nim to właśnie Kaśka wdała się w dyskusję na mój temat. Na pytanie - „A



jak się teraz prowadzi panicz Ryszard” - odpowiedział bez zastanowienia: „Dobrze gra w karty, ma dobrą głowę do wódki i nie widziałem niezadowolonej dziewczyny, która by wychodziła z jego pokoju”. Po powrocie do domu Kaśka zrelacjonowała to dokładnie, opatrując własnym komentarzem: „A pan profesor i pani profesorowa tak go lubią, a on jest cygan, pije wódkę i się łajdaczy”. Nastąpił stan wrzenia i postanowiono zawrócić mnie z drogi występku na drogę cnoty w sposób opisany wcześniej. Przekonałem się wówczas, jak niepodważalnym autorytetem jest Kaśka. Oczywiście, po wysłuchaniu tej historii opuściły mnie wszystkie żale i poczułem się niewymownie szczęśliwy, że ci wspaniali ludzie tak głęboko przejęli się faktem, iż mogłem zbroczyć na złą drogę i chcieli mnie przed tym uchronić w tak zdecydowany sposób. Poprawne stosunki zostały odbudowane.

Mimo że minęło już ponad 36 lat, często wracam do tych i wielu innych zdarzeń. A wychodząc z Cmentarza Lipowego w Gliwicach, gdzie odwiedzam spoczywających tam Annę i Stanisława Fryze, jestem uśmiechnięty, czym często wzbudzam zdziwienie mijających mnie ludzi. Przecież nie mogę każdemu opowiadać, dlaczego.

## Wspomina Tadeusz Szweda

**B**ył koniec czerwca, może początek lipca 1946 roku, gdy z grupą studentów pierwszego roku Wydziału Elektrycznego znalazłem się na rampie towarowej dworca PKP w Gliwicach w celu rozładowania wagonu i przewiezienia mienia profesora Fryzego do willi przy ulicy Kaszubskiej. Wtedy to po raz pierwszy zobaczyłem Profesora. Jego przybycie poprzedziły liczne, budzące na ogół wśród nas grozę, pogłoski o surowych wymaganiach stawianych studentom przez Profesora. Z tym większym zainteresowaniem patrzyłem teraz na niego, pełnego energii i radosnego zadowolenia z zakończonej, niewątpliwie uciążliwej podróży ze Lwowa do Gliwic.



Potem przez dwa semestry słuchałem pięknych, bogatych pod względem treści wykładów prezentowanych przez profesora Fryzego z nieznaną mi z innych wykładów dynamiką, okraszanych zabawnymi anegdotami, powiedzonkami i dowcipami. To było wspaniałe przeżycie! Zapamiętałem, na przykład, jeden z wielu dowcipów opowiedzianych przez Profesora w czasie wykładu:

„Nie za to cię biję” - mówi ojciec do małego syna - „że wkręciłeś papudze korkociąg pod ogon, ale za to, że mówisz, że to już tak było!”  
A z powiedzonek:

„Tłumaczę, tłumaczę, już sam zrozumiałem, a oni jeszcze nic nie rozumieją” - skarży się wykładowca.

Egzamin z podstaw elektrotechniki odbywał się po dwóch semestrach z całości wyłożonego materiału, w grupach po dziesięciu studentów, i trwał przeciętnie osiem godzin. Rozwiązywało się dużą liczbę zadań - najpierw pod bacznym okiem adiunktów i asystentów, potem zaś, po trzech lub czterech godzinach, samego Profesora. Profesor, przechadzając się pomiędzy stolikami, pochylał się od czasu do czasu nad tym lub owym studentem wkładając charakterystycznym gestem binokle na nos (nigdy nie nosił ich na stałe). Pamiętam, jak podszedł do mnie i po chwili obserwacji moich poczynań odwrócił się zdejmując binokle z nosa z uwagą: „kompletnie źle!”. Zaalarmowany taką opinią prześle-dziłem jeszcze raz tok obliczeń, po czym, stwierdziwszy, że wynik jest poprawny, odłożyłem pióro i suwak i poprawiłem się na krześle. Widząc to Profesor zapytał, czy poprawiłem obliczenia. „Nie” - odparłem - „bo jest dobrze”. „No, to licz pan” - rozkazał Profesor siadając obok mnie. „Ale »I« pan weź przed nawias!” - rzucił Profesor wstając z krzesła i zdejmując z nosa binokle, gdy uzyskałem wynik obliczeń identyczny z poprzednim. Był to test na pewność siebie studenta, a więc na stopień jego przygotowania do egzaminu. W czasie tego egzaminu zdarzył się też zabawny incydent. Spacerujący między stolikami Profesor zauważył, że pewien starszy już wiekiem student pracowicie wertuje kartki tablic logarytmicznych. „Jeśli pan zapomniał suwaka, to proszę pójść do domu i zgłosić się z suwakiem w nastę-pnym terminie. Wymagam, by zdający egzamin posługiwali się sprawnie suwakiem!” - zwrócił się Profesor do nieszczęśnika. Ten jed-nak poprosił o pozwolenie wytłumaczenia się, a gdy uzyskał zgodę,



wyznał: „Przed wojną służyłem w artylerii. W czasie manewrów znalazłem się w gronie pięciu takich, jak ja, podskakiewiczów uzbrojonych w suwaki logarytmiczne. Po obliczeniu za pomocą tychże suwaków parametrów ustawienia armaty wystrzeliliśmy i rozwaliliśmy kościół we wsi. Potem, już w więzieniu pułkowym, uroczyście przysiągłem sobie, że już nigdy w życiu nie wezmę suwaka do ręki. W związku z tym mam prośbę do pana profesora, by pozwolił mi tej przysięgi nie łamać”. Rozbawiony Profesor zażądał indeksu i wpisał ocenę pozytywną.

Pamiętam też obronę mojej pracy dyplomowej. W komisji egzaminacyjnej zasiadali profesorowie: Fryze, Malarski i Dorosz. W trakcie referowania pracy uznałem za stosowne pominąć nieco przydługie przekształcenie algebraiczne oznajmiając: „Oczywiście, po dokonaniu stosownych przekształceń, otrzymamy” - i tu napisałem wynik. Nagle usłyszałem głos profesora Malarskiego: „Dlaczego pan powiedział »oczywiście«?” Gorączkowo zacząłem szukać w myślach sensownej odpowiedzi, ale bez skutku. I wtedy rozległ się głos profesora Fryzego: „»Oczywiście« mówi się po to, by się nikt nie pytał. Jedź pan dalej!” Przytoczone wyżej zdarzenia, mimo anegdotycznego wydźwięku - prawdziwe, świadczą nie tylko o wspaniałym poczuciu humoru Profesora, ale też o jego ogromnej życzliwości dla ludzi, którzy znaleźli się w pobliżu. Miałem tego dodatkowo doświadczyć, gdy w 1952 roku po urodzeniu się mojej córki Ireny profesor Fryze w dość kategorycznym tonie zaproponował mi, bym codziennie przysyłał do niego kogoś po mleko dla niemowlęcia. Było to w czasach, gdy dostawy mleka, przy tym wątpliwej jakości, były na ogół nieregularne.

W ocenach zdarzeń i ludzi profesor Fryze zawsze kierował się względami merytorycznymi, nigdy formalnymi. Jako dziekan często grzmiał marszcząc groźnie brwi, ale zawsze, jeśli było to możliwe, okazywał pomoc. Były to czasy trudne, wymagające niezwykłej odwagi, by wyrażać publicznie własne opinie, zwłaszcza gdy były one niezgodne z poglądami oficjalnie głoszonymi. Profesor Fryze taką odwagę miał! Miał ją zawsze, jak sięgam pamięcią. W pamięci mojej trwa wspaniała, świetlana postać ukochanego Profesora, stanowiąca dla wielu z nas,



którzy mieliśmy szczęście znać go, niedościgły wzorzec postaw i zachowań.

## Wspomina Kazimierz Luchowski

**B**yłem słuchaczem wykładów Profesora w latach 1946-48. Zachęcony inicjatywą Stowarzyszenia Wychowanków Wydziału podjąłem próbę odgrzebania w pamięci (i uporządkowania) scen i sytuacji związanych z osobą profesora Stanisława Fryzego. Oto niektóre z rodzyneków, jakie zachowały się w mojej pamięci.

- Dużo porcelany, wysokie napięcie. Mało porcelany - niskie napięcie.
- Rzuciła cię dziewczyna - nie rozpaczaj! Jeden tramwaj uciekł - czekaj na następny.
- Zauważywszy, że student na pisemnym egzaminie coś płacze, Profesor kwitował sytuację zdaniem: „czuć cmentarzem!”.
- Był podobno przypadek na semestrze rok po moim, że student zakwestionował poprawność rozwiązywanego zadania. Było nawet uderzenie pięścią w stół! Okazało się, że miał rację. Reakcja Profesora była spontaniczna - przyznał mu rację, uściskał, a na koniec rzucił sentencję: „Inżynier musi być stanowczy!”.
- Wspominając swe przeżycia więzienne we Lwowie opowiadał, jak naprawiał zegarki „klawiszom”. Za potrzebne do tego narzędzia czy olej dał swą porcję chleba. Na uwagę, że to kiepski interes dokładać chleb do zegarka, odpowiedział: „To może ratować życie”.
- W 1955 roku, w rozmowie z przedwojennym kolegą z Podola, Ludwikiem R., usłyszałem taką historię:  
Ludwik R. ze swoim starszym bratem byli w 1944 roku studentami na weterynarii we Lwowie. Co miał Profesor do weterynarii? A jednak! Od wschodu zbliżał się do Lwowa front. Bracia R. nawiązali kontakt z profesorem Fryzem, na którego posesji postanowiono urządzić

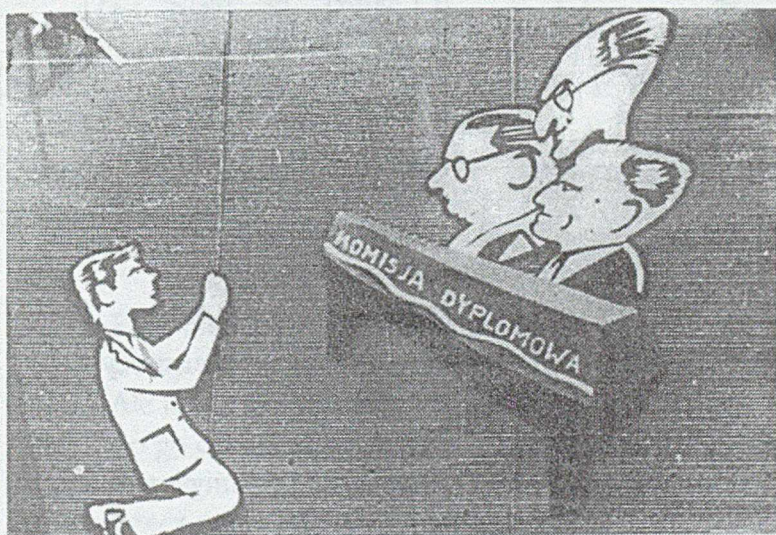


schron. Zrobiono składkę na potrzebne materiały i viribus unitis wybudowano schron. Według obliczeń Profesora miał on wytrzymać uderzenie 200-kilogramowej bomby. Nadszedł oczekiwany dzień X. „Udziałowcy” zebrali się przy schronie. Przebieg zdarzeń frontowych przechodził jakby ospale. W pewnym momencie profesor Fryze nie wytrzymał i ruszył do domu ze słowami: „Muszę poczytać trochę »Trylogii«, żeby wprowadzić się w atmosferę walki!”

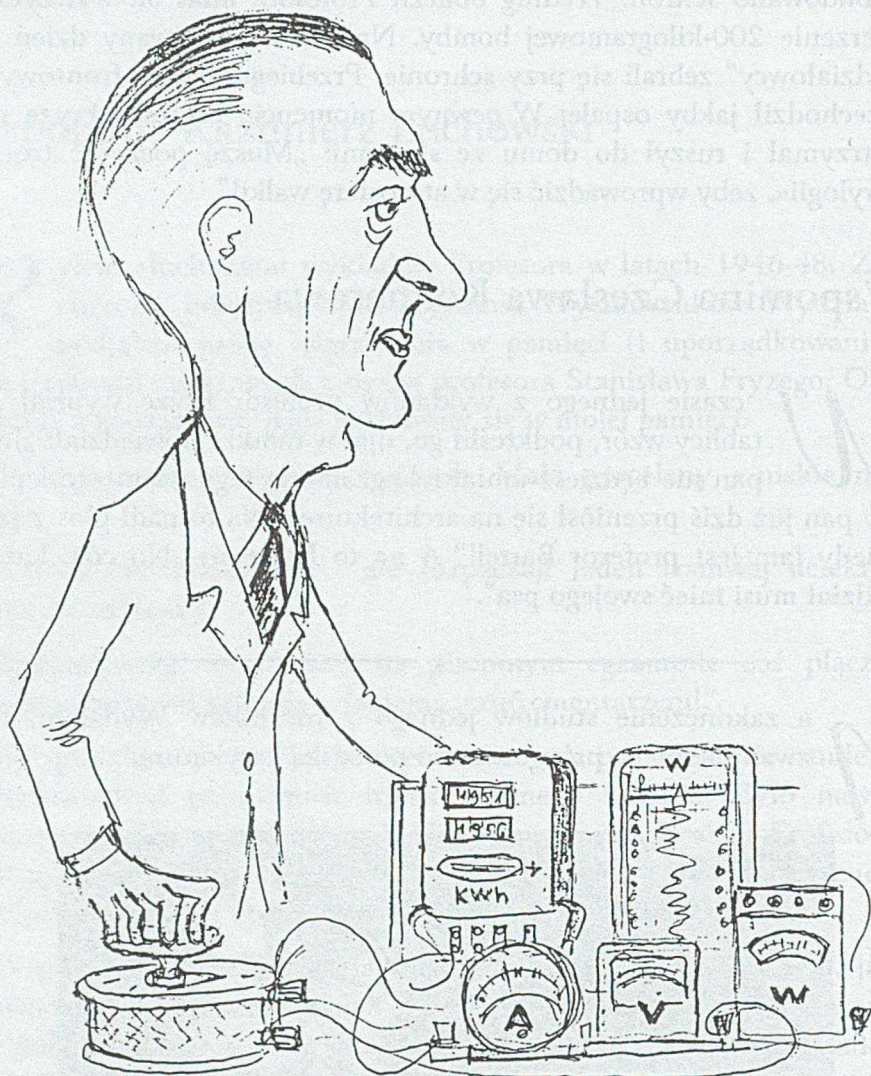
## Wspomina Czesława Kolmerowa

**W** czasie jednego z wykładów profesor Fryze wypisał na tablicy wzór, podkreślił go, ujął w ramki i powiedział: „Jeśli pan nie będziesz umiał na egzaminie tego wzoru, to lepiej, aby pan już dziś przeniósł się na architekturę!” Na to padł głos z sali: „Kiedy tam jest profesor Bartel!” A na to Profesor: „No cóż, każdy wydział musi mieć swojego psa”.

**N**a zakończenie studiów jednego z roczników Wydziału, tak zwany komers, przygotowano poniższą karykaturę:







Profesor Podlacha demonstruje pomiar mocy



Na jej odwrocie był następujący wierszyk:

„Bo to myśli pan czerwono,  
Ale pisze pan niebiesko,  
I to z białą w ręku kredą  
Poprzed czarną stojąc deską!” ...

Przewodniczącemu Komisji Dyplomowej

KOMISJA KOMERSOWA

A Komisja Dyplomowa składała się z profesorów - od lewej: Zygmunta Gogolewskiego, Wincentego Podlacha i Stanisława Fryzego, jako przewodniczącego.

---

**N**a kursokonferencji w Karpaczu, we wrześniu 1954 roku, mgr inż. Jerzy Wehr z Warszawy, dowcipny satyryk, który opisał wszystkich uczestników, tak oto scharakteryzował profesora Fryzego:

„Strzałkowanie to podstawa -  
Na niej są oparte prawa,  
Których nikt nie opanuje,  
Kto porządnie nie strzałkuje!

System mój od dawna znany -  
Od ćwierć wieku stosowany!  
A do waszych tępych głów  
Muszę o nim mówić znów.

Prąd nie może płynąć w tył,  
Bo by wtedy rakiem był!  
Ale u was on jest rakiem -  
Bo go oznaczacie znakiem  
Bez wymiaru i bez miana.  
Rzecz naprawdę niesłychana!



Przez bałagan i niechlujstwo,  
Przez to wasze strzałkobójstwo,  
Wiele już powstało szkód.  
Prąd strzałkujcie zawsze w przód!

.....  
A, doprawdy, to za wiele!  
Asystenci! Gdzie tabele?  
Gdzie moich dwieście wykresów  
I tablice MKS-ów?  
Mądrzy się tu rój ich cały -  
A ze strzałkowania pały!

---

**N**a koniec wierszowane refleksje Zofii Czosnek po wysłuchaniu wykładów z podstaw elektrotechniki II w roku akademickim 1952/53.

Oj, dają nam szkołę, dają  
Elektrotechniki podstawy  
Wykładane przez Fryzego,  
Który jest światowej sławy.

Gdy na nie popatrzysz,  
Pomyślisz - łatwe, to nic,  
Ale nim nie przeskoczysz,  
Nie gadaj, bracie - hyc.

Bo gdy się w nie zagłębisz,  
Zobaczysz same cuda  
I musisz się napocić,  
Zanim zrozumieć się uda.

Wartość skuteczna, średnia,  
Lub zmienna okresowo,  
Napięcie, natężenie  
I opór, i to, i owo.



A jakie nazwy wspaniałe,  
Że aż płakać się chce ...  
Sinusoidy ospałe,  
Obwody R, L, C.

To się przesuwa w tył,  
Tamto pędzi dokoła.  
Jakieś fazy, okresy,  
A któż to pojąć zdoła!

A najgorsze już chyba  
To te nazwy straszliwe:  
Te ikсы, ypsilony,  
Powyginane krzywe.

Symboliczna metoda  
Jakieś ja zawiera,  
Tu odejmie, tam doda  
I dużo czasu zabiera.

Tu wersor rotacyjny  
Uśmiecha się zwycięsko,  
Tam moduł i argument  
I znów wykres - o, klęsko!

„A niech pan słucho uważnie!”  
- Głos belfra ucho usłysz -  
„Na tym najwięcej się ścina,  
A to jest łapka na myszy”.

Prąd rysujesz czerwono,  
Napięcie niebiesko znów.  
Tu daszek, tam znowu indeks,  
W ogóle szkoda słów!

A gdy czasem utoniesz  
W słodkich marzeń krainie,  
Wyrwie cię z odrętwienia:  
„Wyłącznie” i „jedynie” -



To można tu tylko stosować,  
Inne jedynie tam.  
I znów musisz rysować,  
I nic już nie wiesz sam.

Za chwilę coś nowego,  
Znów widzisz inny kolorek.  
I tak się stale powtarza  
W środę, piątek i wtorek.



### III. Wspomnienia o Tych innych







Rozmawiając kiedyś ze studentami grupy Elektrownie profesor Lucjan Nehrebecki powiedział: „Panowie, te samochody, domy, kochanki będą, będą. Teraz trzeba pracować, pracować”. Minęło od tej pory 40 lat. Podczas spotkania koleżeńskiego z okazji Nowego Roku - wspomina Tadeusz Lipiński - ja jeden z tej grupy studentów, jeszcze z innym kolegą, zwróciłem się do Profesora: „Panie profesorze, my dwaj mamy do pana żal, że pan nas oszukał”. „Ja oszukałem?” Przypomniałem wtedy to powiedzenie, dodając: „Samochody jakieś mamy, domów nie chcieliśmy, choć byłoby na nie stać, ale te kochanki?” Profesor zaśmiał się i powiedział: „Przecież to wasza wina”.

W latach pięćdziesiątych była mania prześladowcza na temat sabotaży dokonywanych u nas przez imperialistów. Kiedy profesor Nehrebecki na wykładzie powiedział nam: „UB doszukuje się różnych wymyślnych form sabotażu, tymczasem w naszych przedsiębiorstwach i urzędach najgroźniejszym sabotażystą byłby ten, który by skrycie pomieszał wszystkie papiery stojące w szafach i skrytkach”.

*(ze wspomnień Tadeusza Lipińskiego)*

W 1972 roku - wspomina Wilibald Winkler - przebywałem na kilkumiesięcznym stażu w firmie Brown Boveri & Cie w Baden (Szwajcaria). Przed wyjazdem miałem zawsze krótko strzyżone włosy, czesane na jeża. W trakcie pobytu w Szwajcarii uległem ówczesnej panującej modzie i zapuściłem długie włosy wraz z bokobrodami. Kilka dni po moim powrocie do kraju zobaczył mnie w Instytucie profesor Nehrebecki i zareagował na mój widok następująco: „Ot, wyjechał na staż Winkler, a wrócił lord Byron”.



**W** Katedrze Elektrowni pracował swego czasu docent Andrzej Żeleński spowinowacony z pisarzem i tłumaczem Tadeuszem Boyem-Żeleńskim. Docent Żeleński, późniejszy profesor Politechniki Wrocławskiej, był niezwykle roztargniony, o czym świadczy opisane zdarzenie:

Pewnego ranka pracownicy nie mogli znaleźć kluczy do drzwi wejściowych pomieszczeń Katedry. Stali przed zamkniętymi drzwiami zastanawiając się, kto ostatni opuścił Katedrę poprzedniego dnia. Stwierdzono zgodnie, że był to docent Żeleński, który zresztą niebawem się zjawił. Kiedy zapytano o klucz, zaczął szukać po wszystkich kieszeniach, lecz bez rezultatu. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął jednak list i patrząc nań powiedział: „Przecież ten list wrzuciłem wczoraj do skrzynki pocztowej, jakim cudem znalazł się w mojej kieszeni?” - wtedy już wszystko było jasne: zamiast wrzucić do skrzynki list, docent Żeleński wrzucił klucze. Pozostało tylko ustalić, do której i załatwić z Poczta otwarcie skrzynki ...

*(ze wspomnień Wilibalda Winklera)*

**W** tejże katedrze pracował również mgr inż. Wiesław Święcki, będący jednocześnie generalnym projektantem w Biurze Projektów „Energoprojekt”. Był to człowiek umiejący cenić pieniądze. Kiedyś pan Andrzej Żeleński zwrócił się do pana Święckiego słowami: „Wie pan, co o panu mówią? Jadąc na urlop na Mazury wziął pan delegację z katedry do Ministerstwa w Warszawie, z Energoprojektu delegację do Elektrowni Ostrołęka, a jechał pan w drugiej klasie na buforach”. Nie zrażony Święcki odparł: „A czy pan wie, że o panu mówią, że przyjechał pan do pracy rowerem, zostawił go na portierni, potem przez tydzień pytał się wszystkich napotkanych przy portierni, czy nie wiedzą czasem, czyj to rower, i dopiero, gdy złodziej go ukradł, przypomniał pan sobie, że rower był pański”. Żeleński na to odpowiedział: „A wie pan, że to jest prawda ...”

*(ze wspomnień Tadeusza Lipińskiego)*



Profesor Edmund Piotrowski, kierownik Katedry Urządzeń Elektrycznych, był przez pewien okres równocześnie kierownikiem Oddziału Instytutu Energetyki w Gliwicach. Kiedyś Instytut otrzymał nową skodę pick-up'a. Była ona garażowana w Katowicach. Co dzień kierowca przywoził nią Profesora do Gliwic, potem pracownicy wyjeżdżali w teren na pomiary, a po południu samochód wraz z Profesorem powracał do Katowic. Któregoś dnia Profesor w drodze powrotnej zapytał kierowcę: „Panie Marianie, co pan robi wieczorem?”. Kierowca odpowiedział: „Panie profesorze, jestem jakoś zmęczony, umyję wóz i chyba pójdę spać”. A jak faktycznie skończył się ten dzień?

Opowiadał później Profesor:

„Pojechałem po południu do Bytomia autobusem, pozalaatwiałem sprawy, a tu nie ma czym wrócić. Żaden autobus nie jedzie. Robi się ciemno. Naraz biegną dwie kobiety i słyszę - jest taksówka do Katowic! Pobiegłem i ja, wsiałam do »taksówki«, patrzę - toż to instytutowe auto, a za kierownicą mój kierowca. Widzę we wstecznym lusterku jego przerażoną twarz, ale się nic nie odzywam, on też nic nie mówi. Jedziemy. Przed Katowicami kierowca pyta pasażerów, gdzie się zatrzymać. Tak się złożyło, że panie i ja wysiedliśmy razem na Koszutce. Zapłaciłem tyle, co one, powiedziałem - »dziękuję i dobranoc«”.

A teraz opowieść kierowcy:

„Wracając do Katowic profesor zapytał, co robię wieczorem. Odpowiedziałem, że umyję wóz i będę odpoczywał. Po umyciu samochód wyglądał tak ładnie, że nadeszła mnie chętka wykorzystania tego i zarobienia trochę pieniędzy. Trafił się pasażer do Bytomia. W Bytomiu zatrzymałem się czekając na pasażerów powrotnych. Naraz wsiałły dwie kobiety i mężczyzna. Z przerażeniem w lusterku wstecznym zobaczyłem szefa. On nic i ja też milczę. Tak dojechaliśmy do Katowic. Zapytałem, gdzie się zatrzymać. Pasażerki, wysiadając, położyły na siedzeniu po 20 zł, profesor również. Powiedzieli »dobranoc« i wszystko. Po paru dniach profesor zrugął mnie i poprosił, żebym tego więcej nie robił”.

Po dziesięciu latach od złożenia zamówienia Katedra Urządzeń Elektrycznych otrzymała wreszcie lodówkę „Moskwa” zamykaną na



kluczyk. Trzeba ją było z miejsca wypróbować umieszczając kilka butelek „Wyborowej”. Nie skorzystano jednak z zamknięcia na kluczyk. Pewnego dnia profesora Piotrowskiego odwiedził dziekan Pluciński. Spostrzegłszy nowy nabytek, zaglądnął do środka. „No, no” - i pokiwał głową. Na drugi dzień Profesor wróciwszy z Rady Wydziału zapytał kolegę Karola Wolskiego, którego bardzo lubił: „Panie Wolski, czy wie pan, po co lodówka ma kluczyk?” „Wiem” - odpowiedział Karol. „Nie wie pan: kluczyk jest po to, aby nam nikt niepowołany nie zaglądał do lodówki - a pan tego nie dopilnował!” Okazało się, że na Radzie Wydziału dziekan z zadowoleniem stwierdził, że katedry się rozwijają, otrzymują nowe wyposażenie, przyrządy, lodówki, tylko że je niewłaściwie wykorzystują.

*(ze wspomnień Tadeusza Lipińskiego)*

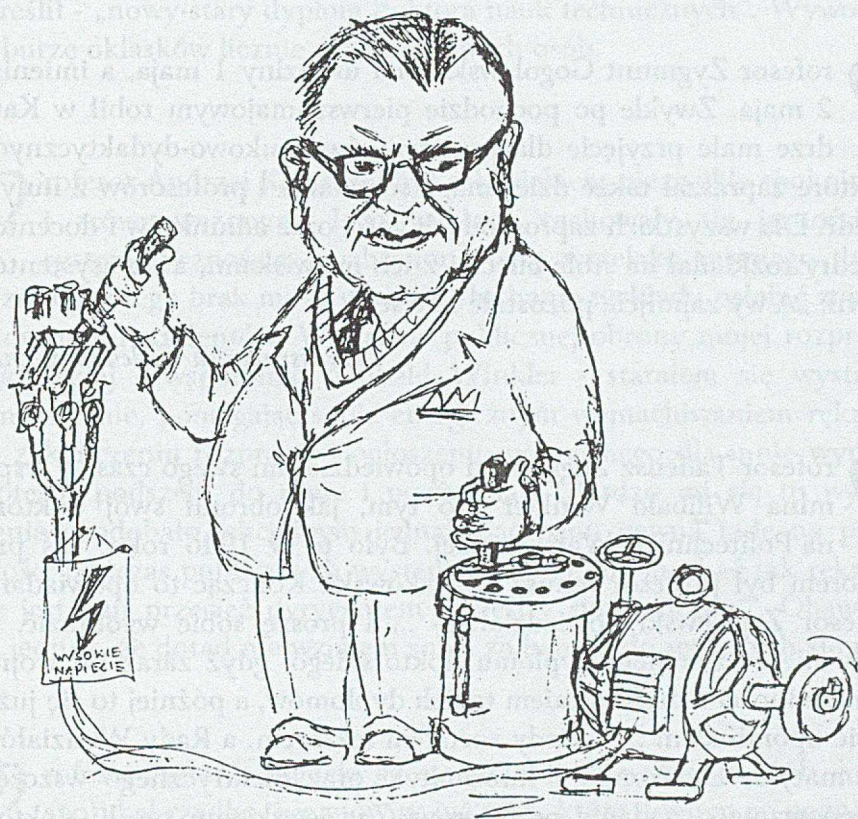
**P**rofesor Piotrowski musiał wyjechać pewnego razu do Warszawy. Poprosił więc asystenta o zastępstwo na wykładzie. Po powrocie z delegacji Profesor oświadczył: „Występuję dla pana o etat wykładowcy, bo studenci wytrwali na pańskim wykładzie do końca”.

Innym razem Profesor przywołuje asystenta: „- Zgłosiła się do mnie studentka, bardzo ładna, z różnicami programowymi. Ja ją przepytam z teorii, pan z praktyki”. Po dwóch dniach Profesor pyta asystenta: „- Panie kolego, no i jak ona wypadła?” „- Ledwie dostateczny, panie profesorze”. „- A u mnie całkiem dobrze” - mówi Profesor - „a długo pan ją pytał?” „- Pięć godzin”. „- A ja pięć minut” - mówi Profesor.

*(ze wspomnień Jerzego Gembalskiego)*

**P**rofesor Zygmunt Gogolewski prowadził wykłady bardzo systematycznie, jasno i przejrzysto. Wszyscy nadążaliśmy za jego myślą i mogliśmy sporządzać dobre notatki. Pewnego razu Profesor wyjaśnił nam, dlaczego tak wolno wykladał. Na Wydziale Elektrycznym studiowała wówczas również jego córka Hanka. „Gdy się tylko trochę za bardzo rozpędzę w swoim wykładzie” - mówił - „to Hanka, która siedzi w pierwszej ławce, zaraz woła: »- Tata wolniej,





Profesor Gogolewski bada prototyp swojej maszyny



tata wolniej!« - „więc ja wyhamowuję, a więc ja mam dobrą sytuację, bo mną córka steruje, a inni profesorowie nie mają takiego komfortu”.

*(ze wspomnień Ludwika Pinko)*

**P**rofesor Zygmunt Gogolewski miał urodziny 1 maja, a imieniny 2 maja. Zwykle po pochodzie pierwszomajowym robił w Katedrze małe przyjęcie dla pracowników naukowo-dydaktycznych, na które zapraszał także dziekana, I sekretarza i profesorów z innych katedr. Dla wszystkich zaproszonych gości oraz adiunktów i docentów Katedry rozkładał na stole bileciki z ich nazwiskami, a do asystentów mówił: „A wy zajmijcie pozostałe miejsca”.

*(ze wspomnień Tadeusza Glinki)*

**P**rofesor Tadeusz Zagajewski opowiedział mi swego czasu - wspomina Wilibald Winkler - o tym, jak obronił swój doktorat na Politechnice Warszawskiej. Było to w 1946 roku, zaś promotorem był profesor Janusz Groszkowski. Kończąc to opowiadanie profesor Zagajewski powiedział: „- ... i proszę sobie wyobrazić, że nigdy nie otrzymałem dyplomu doktorskiego, gdyż zaraz po wojnie były trudności z drukowaniem takich dyplomów, a później to się już o to nie upominałem ...”. Kiedy zostałem rektorem, a Rady Wydziałów: Automatyki, Elektroniki i Informatyki oraz Elektrycznego wszczęły postępowanie o nadanie profesorowi Zagajewskiemu tytułu doktora honoris causa naszej Uczelni, przypomniałem sobie - a był to rok 1991 - historię z dyplomem doktorskim Profesora. Podczas jednego ze spotkań z rektorami uczelni krajowych zwróciłem się do ówczesnego rektora Politechniki Warszawskiej profesora Marka Dietricha z zapytaniem, czy możliwe jest uzyskanie tego dyplomu po prawie pięćdziesięciu latach. Traktowałem sprawę raczej symbolicznie, gdyż profesor Zagajewski opowiedział mi swoją historię z dyplomem jako ciekawostkę, a nie w formie pretensji do kogokolwiek. Ale rektor Dietrich zajął się sprawą, i kiedy w dniu 29 września 1992 roku w naszej Uczelni odbyła się uroczystość nadania tytułu doktora honoris causa



profesorowi Zagajewskiemu - ku zaskoczeniu wszystkich, a przede wszystkim samego Profesora, który o moich staraniach, oczywiście, nie został poinformowany, na koniec głównej ceremonii prorektor Politechniki Warszawskiej profesor Filipkowski wręczył - jak to określił - „nowy-stary dyplom doktora nauk technicznych”. Wywołało to burzę oklasków licznie zgromadzonych osób.

**P**rofesor Andrzej Kamiński był człowiekiem niezwykle spokojnym i zrównoważonym. Jego wykłady cechowały się jasnością i systematycznością, pozbawione były wszelako pewnego dynamizmu, którego brak może w miarę słuchania wykładu osłabić zainteresowanie u studentów. W trakcie publicznej obrony mojej rozprawy doktorskiej - wspomina Wilibald Winkler - starałem się wystąpić dynamicznie, pomagając sobie energicznym wymachiwaniem rękami. Po zakończeniu rozprawy i ogłoszeniu pomyślnego dla mnie wyniku Profesor podszedł do mnie i powiedział: „Bardzo mi się to wystąpienie spodobało, chciałbym jednak dać panu pewną radę na przyszłość: podczas publicznych wystąpień proszę nie machać tak rękami, nie jest pan przecież dyrygentem orkiestry symfonicznej”. Obawiam się jednak, że dotąd nie wziąłem sobie za bardzo do serca tych słów.

**P**rofesor Antoni Bogucki często przekręcał nazwiska osób, które spotykał rzadko, nie mówiąc już tych, które dopiero co poznał. W roku 1975 odbywała się druga konferencja naukowa poświęcona aktualnym problemom automatyki elektroenergetycznej. Wzięło w niej udział wiele osób z zagranicy, między innymi przedstawiciele angielskiej firmy Reyrolle, wśród których znajdował się pan Rotstein. Na zakończenie konferencji profesor Bogucki podziękował wszystkim uczestnikom, w tym również gościom zagranicznym, których wymienił po nazwisku - zamiast jednak podziękować panu Rotsteinowi, podziękował panu Rotszyldowi, co wywołało poruszenie i wesołość wśród obecnych.

*(ze wspomnień Wilibalda Winklera)*



**D**ocent Stanisława Bogucka-Kamińska (zbieżność nazwisk z profesorem Boguckim przypadkowa, z profesorem Kamińskim - nie) prowadziła wykłady z matematyki w sali 103. W połowie trzygodzinnego wykładu robiła przerwę. W czasie tej przerwy często przychodziła do mieszczącego się w pobliżu sekretariatu Zakładu Trakcji, aby umyć ręce. Jeśli akurat byłem obok w gabinecie - wspomina Tadeusz Glinka - zapraszałem ją na kawę i przy okazji mogliśmy porozmawiać. Zdarzyło się kiedyś, że sekretarka wyszła, więc sam, pełniąc obowiązki gospodarza, zaparzyłem Pani docent kawę, a sobie herbatę. Sekretarka, pani Krysia, wróciła, kiedy Pani docent już nie było. Myjąc szklanki pani Krysia zapytała, kogo gościłem i cośmy pili. Słyszając o kawie spytała, skąd ją wzięłem, więc wskazałem słoik z ciemnobrunatnym proszkiem. „Ależ ja tu trzymam paprykę!” - wykrzyknęła.

**P**rofesor Bolesław Tokarski pyta w czasie egzaminu z części maszyn: „Jakie są łożyska toczne?” Student: „Kulkowe, rolkowe, igiełkowe ...” Profesor zniecierpliwiony przerywa: „Nie, proszę pana. Łożyska toczne są najlepsze!”.

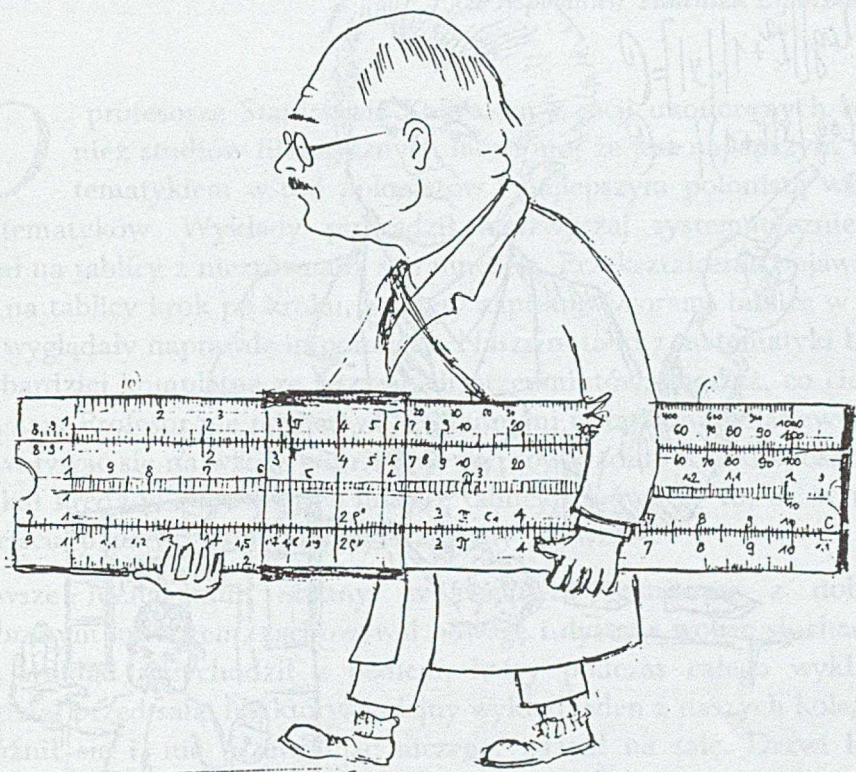
Profesor w czasie egzaminu: „Proszę napisać wzór ilustrujący omawianą zależność”. Student: „Niestety, panie profesorze, nie pamiętam ...” „Nie szkodzi, całego wzoru nie musi pan podawać, wystarczy, jak mi pan napisze, co jest w liczniku i co w mianowniku ...”

*(ze wspomnień Iwo Cholewickiego)*

**P**rofesor Bolesław Tokarski w czasie egzaminu: „Proszę pana, co siedzi na wale?” Student milczy. „Moment, proszę pana, moment!” - mówi Profesor.

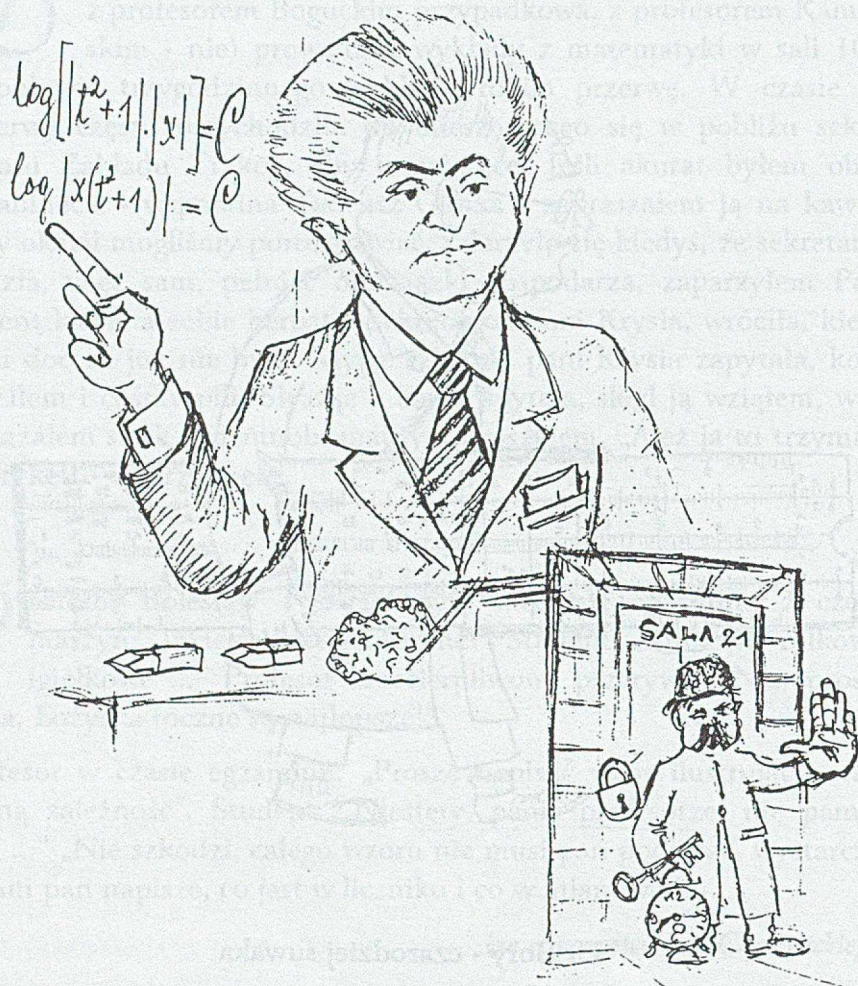
Profesor bardzo starannie prowadził kartoteki, gdzie zapisywał cały tok studiów studenta w Katedrze, tj. wykonane i zaliczone projekty, wyniki kolokwii, egzamin. Spojrzawszy podczas egzaminu do





Dr Bory - czarodziej suwaka





Profesor Kaliński w akcji



kartoteki jednego delikwenta, rzekł: „Panie, ależ pan ma u mnie zapaskudzoną kartotekę!”. „Nie rozumiem” - odpowiada student - „przecież ja jeszcze nie oddałem żadnego projektu”. „No właśnie” - rzecze profesor - „u mnie nic tu nie jest napisane”. I egzaminu nie było.

*(ze wspomnień Tadeusza Lipińskiego)*

O profesorze Stanisławie Kalińskim z racji ukończonych również studiów filologicznych mówiono, że jest najlepszym matematykiem wśród polonistów i najlepszym polonistą wśród matematyków. Wykłady prowadził nadzwyczaj systematycznie, a pisał na tablicy z niezrównaną starannością. Przekształcenia pojawiały się na tablicy krok po kroku, a cztery zapisane wzorami tablice w sali 21 wyglądały naprawdę imponująco. Nasze notatki z matematyki były najbardziej kompletne ze wszystkich przedmiotów, chociaż, co ciekawe, sam Profesor nie posługiwał się żadnymi notatkami. Miał zwyczaj powoływać się na wzory poprzednio wyprowadzone, w taki sposób że stukał kredą w odpowiednie miejsce tablicy i mówił „o tu, tu, w tym miejscu, państwo pamiętają, był napisany ten wzór”.

Zawsze nienagannie ubrany, w ciemnym garniturze z dobrze dobranym krawatem, zachowywał powagę i dystans wobec słuchaczy. Na wykład przychodził z pedłem, który podczas całego wykładu siedział przed salą. Na któryś kolejny wykład jeden z naszych kolegów spóźnił się i, nie przewidując niczego, wszedł na salę. Drzwi były blisko katedry. Profesor, zaskoczony, że mu ktoś przeszkadza, przerwał wykład i gromkim głosem krzyknął: „Proszę wyjść, proszę wyjść i więcej nie wracać!” Na następne wykłady kolega ten przychodził na czas i chował się w tłumie.

*(ze wspomnień Zofii Cichowskiej)*

Student Arkadiusz Puchała (późniejszy profesor AGH) miał zdawać egzamin z matematyki u profesora Kalińskiego. Było to na pierwszym roku studiów. Przed wejściem do gabinetu Profesora czekało się w przedpokoju, w którym „urzędował” pedel.



Zaczeplił on studenta słowami: „Pan pierwszy raz przyszedł na egzamin, ale pan go zda, a ten kolega, co przed panem wszedł, już piąty raz zdaje, ale dzisiaj go też **oblejemy**”. Wynik egzaminu dla obydwu studentów okazał się zgodny z zapowiedzią pedla.

*(ze wspomnień Tadeusza Glinki)*

**N**a egzamin z fizyki u profesora Tadeusza Malarskiego przyszło raz dwóch studentów. Profesor dał im zadania do rozwiązywania, a ponieważ nie miał czasu, polecił przeprowadzenie egzaminu jednemu z asystentów. Po dwóch godzinach studenci „poddali się”; jeden z nich wyszedł, a drugi poprosił asystenta aby w ramach konsultacji wyjaśnił mu zadania. Asystent naszkicował rozwiązania zadań, a gdy skończył, akurat wszedł profesor Malarski, odebrał studentowi kartki z zadaniami, przejrzał je i powiedział: „Dobrze, dobrze ...”. Asystent próbował wyjaśnić nieporozumienie, ale Profesor uciął dyskusję: „Sam widzę, nie musi mi pan nic wyjaśniać” i zwrócił się do studenta: „Proszę o indeks, ma pan ocenę dobrą”.

*(ze wspomnień Tadeusza Glinki)*

**P**rofesor Franciszek Szymik należał do ludzi, których określa się słowem „akuratny” i jako taki bardzo starał się dotrzymywać umówionych spotkań. Nie zawsze jednak wykazywał się przy tym szczególną precyzją. Kiedyś zadzwonił do Katedry - wspomina Bogusław Szewc - mniej więcej dwadzieścia po dziesiątej. „Panie kolego” - usłyszałem w słuchawce - „gdyby pytał o mnie dziekan, to proszę mu powiedzieć, że będę za dwadzieścia minut, bo umówiłem się z nim na dziesiątą, a nie chciałbym się spóźnić”.



## IV. Zamiast zakończenia







Popokolenie, które studiowało na Wydziale Elektrycznym Politechniki Śląskiej w latach, gdy wykładał profesor Fryze, zachowało szczególnie jego, ale również i innych wychowawców, we wdzięcznej pamięci za wiedzę, którą nam przekazali, za trud wychowawczy w kształtowaniu właściwego podejścia do studiów i przyszłej pracy zawodowej. I choć niektóre zdarzenia i pouczenia profesorów opowiadane przez różne osoby różnią się w szczegółach, bo lat minęło wszak sporo, to w rozmowach zawsze zgodnie i chętnie wracamy do tamtych lat. Niektóre roczniki organizują zjazdy koleżeńskie. Na przykład rocznik studiujący w latach 1951-1955(56) spotykał się, i to w gronie około 70 osób, już na sześciu zjazdach. Chęć spotkań trwa nadal - ożywają wspomnienia i znów jesteśmy młodzi.

A jak obecni studenci patrzą na swoich profesorów? Warto przytoczyć dwa autentyczne zdarzenia, które opowiedział obecny rektor Uczelni, profesor Wilibald Winkler.

Jadąc samochodem służbowym do pracy z Zabrzeza do Gliwic, dojeżdżając do jednego z przystanków, zauważył po drodze młodego człowieka, który nie zdążył dobiec do autobusu. Poleciał więc kierowcy, aby się zatrzymał i zapytał młodzieńca, dokąd zamierza jechać. Gdy okazało się, że do Gliwic, zabrał go i w trakcie jazdy nawiązał z nim rozmowę. Okazało się, że jest to student Wydziału Automatyki, Elektroniki i Informatyki, już na semestrze dyplomowym. W dalszej rozmowie Rektor zadał pytanie: „Kto jest u was teraz dziekanem?”. „Nie wiem” - padła odpowiedź - „nigdy nie miałem z nim do czynienia, najwyżej z prodziekanem, ale nazwiska nie znam”. Dalsze pytanie: „A kto najbardziej dał się panu we znaki w trakcie studiów?” „Krwawy Rysiu”<sup>\*)</sup>, ale nazwiska też nie pamiętam”. Jedno z końcowych pytań brzmiało: „A kto jest teraz rektorem?”. „Nie wiem” - odpowiedział student. Podróż zakończyła się pod gmachem Wydziału Architektury, gdzie mieści się rektorat. Wysiadając z samochodu i podając rękę na pożegnanie, profesor Winkler przedstawił się i dodał: „To właśnie ja jestem rektorem”. Student złapał się za głowę, krzyknął: „O Boże!” i wziął nogi za pas.

---

\*) Profesor Ryszard Gessing.



No cóż, zmieniły się czasy, zmieniają się ludzie, zmieniają obyczaje, a my pamiętamy.

Drugie zdarzenie też jest znamienne.

Raz w roku, w maju, na naszej Uczelni obchodzony jest Dzień Sportu, w ramach którego odbywają się gry i zabawy sportowe, w których uczestniczy dość duża część młodzieży akademickiej. Poza rozgrywkami międzywydziałowymi w typowo sportowych konkurencjach, takich jak siatkówka czy koszykówka, jest wiele innych atrakcyjnych dyscyplin, w których studenci mogą się wykazać sprawnością sportową, na przykład rzuty do kosza, toczenie opon samochodowych itp. Nagrodą za zdobycie określonych wyników są bony, które można wymienić na porcję kielbasy z rożna, puszkę piwa czy coca-coli. Dla osób mniej sprawnych fizycznie wymyślono konkursy wiedzy o macierzystej Uczelni, o jej sportowcach.

Podczas Dnia Sportu w 1995 roku jedna z uczestniczek, studentka trzeciego roku (nazwa wydziału nie ma znaczenia), nie zainteresowana konkurencjami czysto sportowymi, zapragnęła zdobyć nagrodę w konkursie wiedzy o Uczelni. Wylosowała kartkę z pytaniami, wśród których było: Jak się nazywa obecny rektor Politechniki Śląskiej? Studentka nie знаła odpowiedzi (bo któż zawracałby sobie głowę takimi drobiazgami), skorzystała z pomocy swej koleżanki i triumfalnie ogłosiła: „Pstrowski!”

Może to nie jest ważne, może to dla kogoś będzie śmieszne... Tylko - co bohaterowie tych zdarzeń będą pamiętali po pięćdziesięciu latach?

Drogi Czytelniku!

Jeżeli dobrnąłeś do końca, zastanów się przez chwilę, co sądzisz o tych wspomnieniach. Jeśli nie oceniasz naszego wysiłku całkiem negatywnie, nadeślij na adres Stowarzyszenia Wychowanków Politechniki Śląskiej, Oddział Elektryków, swoje uwagi i ewntualne uzupełnienia. Tym bardziej zrób to, jeśli uważasz, że rzecz jest niezbyt udana.

Z góry dziękujemy!

*Zofia Cichowska, Tadeusz Lipiński, Bogusław Szewc*









BG Politechniki Śląskiej

nr inw.: 102 - 135730



**Cz.02 135730**